II 2.001.887

30013

RYTWIANY

I ICH DZIEDZICE

przez

Ludwika Powidaja.

WYDANIE REDAKCYI „PRZEGLĄDU POLSKIEGO."

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU"
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1881.

30013

BIBLIOTEKA NARODOWA
II 2.001.887
(4)

Nakładem Redakcyi „Przeglądu Polskiego.“

RYTWIANY I ICH DZIEDZICE.

Pół mili od Staszowa, dwie mile od Stobnicy i w takiejże odległości od Pacanowa, leży wieś Rytwiany, osada dawna, z ruinami starożytnego zamku i opuszczonym klasztorem naprzód Kamedułów, potem Reformatów.

Rytwiany od końca XIV wieku były w posiadaniu możnych rodzin, jak Kurowskich, Jastrzębców, Kurozwęckich, Łaskich, Tenczyńskich, Opalińskich, Lubomirskich, Sieniawskich, Czartoryskich, znowu Lubomirskich i Potockich. Od czasu nabycia ich, około r. 1420, przez Wojciecha Jastrzębca z Łubnic, arcybiskupa gnieźnieńskiego, raz tylko były sprzedawane: odkupił je jako majątek rodzinny od Łaskich, Marcin Zborowski, lecz potem odsprzedał je Andrzejowi Tenczyńskiemu; zwykle przechodziły po kądzieli od jednego rodu do drugiego, aż do dzisiejszego ich właściciela hr. Artura Potockiego.

Historya dziedziców Rytwian gdyby mogła być wyczerpującą, byłaby ważnym przyczynkiem do dziejów politycznych i obyczajowych Polski. Niestety, braku je materyałów do skreślenia całości, jednak i to, co się zebrać dało, nie jest bez interesu. Mikołaj Kurowski, Dersław z Rytwian, Hieronim Łaski i syn jego Albrecht, Stanisław Łukasz Opaliński, to niewyczerpana kopalnia tak dla poważnego historyka, jak dla obyczajowego powieściopisarza. Księżna marszałkowa Lubomirska, cioteczna siostra króla Stanisława Augusta, ze

trzema swymi zięciami: marszałkiem litewskim Ignacym, jenerałem artyleryi Stanisławem, synami Eustachego, i Janem krajczycem koronnym, synem Józefa, Potockimi, to także cenny materyał do dziejów ówczesnej Polski.

I.

W zapiskach kronikarskich o Mikołaju Kurowskim, arcybiskupie gnieźnieńskim, spotykamy pierwszą wzmiankę o Rytwianach. Jaką była wówczas ich fizyonomia, niewiadomo, zapewnie moczary i nieprzebyta puszcza leśna; moczary mimo drenów dzisiaj jeszcze istnieją, puszcza, chociaż dużo ucierpiała od siekiery, zawsze jeszcze pocześnie wygląda. Nie intraty z roli i łąk, ale myślistwo na dzikie ptactwo i zwierza, stanowiły główną zaletę i dochód Rytwian.

Arcybiskup Mikołaj często gęsto w Rytwianach przebywał. Łowy, kielich, miłośnice, zajmowały mu czas niemały. Ówcześni kronikarze, sami duchowni, a więc nieskorzy do kalania własnego gniazda, narzekają na jego niewstrzemięźliwe i wyuzdane życie.

Wyjechawszy z Gniezna na czele orszaku myśliwego, puszczał się lasami do Rytwian, a ztąd do ojczystego Kurowa, polując dniami i nocami. Taka wycieczka trwała tygodnie, miesiące. W Gnieznie był ksiądz arcybiskup bardzo na oku, jego sposób życia wywoływał niezadowolenie Kapituły, która nawet ośmielała się czasem robić mu przedstawienia. Tu, wśród puszcz i topieli, łatwiej mu było ukryć się przed surowymi przestrzegaczami godności kapłańskiej, oddać się namiętnościom bez hamulca i wędzidła, nie mając koło siebie tylko dworzan od siebie zawisłych, równie zepsutych jak on, a może jeszcze gorszych.

W łowach znajdował arcybiskup nietylko rozrywkę, ale także niemałe źródło dochodów; upolowaną zwierzynę solił i Wisłą do Gdańska, a ztamtąd okrętami wysyłał do Flandryi.

Król lubił wesołego prałata, sam zapalony myśliwy, nieraz z nim wspólnie polował, musiał mieć nawet do niego niemałe zaufanie, kiedy wyjeżdżając na wyprawę grunwaldzką,

ustanowił go swoim namiestnikiem na całą Polskę. Królowa Anna, wnuka Kazimierza Wielkiego, musiała teraz tak częste miewać stosunki z arcybiskupem, że z nich mogło się wyrodzić poufalsze, chociażby niekoniecznie grzeszne obcowanie, — przynajmniej na dworze były szepty i śmiechy, ile razy wicerej szedł na pokoje królowej. Niewiadomo, czy który z dworzan, czy, jak inni utrzymują, sama królowa, w obawie, aby Władysław nie dowiedział się z boku o tych szeptach, powiadomili o tem króla. Jagiełło był oburzony, zaprosił Witolda na zjazd do Glinian, wzywając jednocześnie Kurowskiego, aby się stawił i wytłómaczył z zarzuconej mu zbrodni.

Prałat wiedział, że Witold nie żartuje, bano się go też w Polsce więcej niż króla. Króla można było pięknemi słówkami ugłaskać, wielki książę Litewski nie ulegał chwilowemu wrażeniu; co raz postanowił, wypełniał bez oglądania się w tył lub na bok. Wił się Mikołaj jak w ukropie, dostawszy pozew; w Gnieznie mógł być wprawdzie bezpiecznym, ale pod warunkiem, żeby mu Kapituła sprzyjała. Tak jednak nie było; przeciwnie, zanosiła ona nawet żałoby do Rzymu, oskarżając arcypasterza o zgorszenie publiczne; nadrabiał więc fantazyą, gotował się do podróży, kazał zabierać z sobą na wozy pieniądze i kosztowności, dla przekupienia sędziów, wyjechał nawet, drogi mu jednak nie ubywało, gonił z lasu do lasu za zwierzem, aż w Krzeczowie spadł z konia i tak się potłukł, że ledwie do Ropczyc dojechał i tam Bogu ducha oddał.

Pan Bóg rozsądził w tej sprawie; przypadkową śmierć prałata uważano wówczas powszechnie za karę nieba. Długosz nie szczędzi mu słów potępienia; całe jego życie pozwala przypuszczać, że oskarżenie nie było bez podstawy. Dziwić jednak musi, że z wyjątkiem Granowskiej, Jagiełło wszystkie swoje żony podejrzywał o złamanie przysięgi małżeńskiej, tak dobrze świątobliwą Jadwigę, jak lekkomyślną i rozrzutną Zofię Kijowską, matkę dwóch synów, Władysława i Kazimierza. Z tą ostatnią chciał się nawet rozwodzić, do czego namawiał go książę Witold. Dwie panny z fraucymeru królowej kazał sobie do Wilna przywieść i tam je torturą badał. W mękach wymieniły kilku panów jakoby zosta-

jących na bardzo poufałej stopie z królową. Hincza z Rogowa, Piotr Kurowski, synowiec arcybiskupa, Wawrzyniec Zaremba z Kalinowy, Jan Kraska, późniejszy arcybiskup chełmiński, zostali uwięzieni; Jan z Koniecpola i dwaj bracia Szczekocińscy ratowali się ucieczką. Hincza, zamknięty w wilgotnej wieży Chęcińskiego zamku, o mało tego życiem nie przypłacił. Sama już liczba posądzonych podaje w wątpliwość całe oskarżenie. Królowa oczyściła się przysięgą, którą wykonała przed biskupem Oleśnickim wraz z siedmioma niewiastami najwyższego rodu i nieposzlakowanej sławy. Owdowiawszy w trzydziestym roku życia i przeżywszy dwadzieścia siedm lat we wdowieństwie, nie dała powodu do obmów. Spółcześni zarzucają jej *zbytek* i rozrzutność, nic więcej.

Takim był pierwszy znany właściciel Rytwian. Spadkobiercy jego niedługo utrzymywali się przy posiadłościach pozostawionych im przez stryja. Prowadząc życie rozpustne *(exempla trahunt)*, sprzedawali jeden majątek po drugim i zaledwie dziesięć lat minęło od śmierci Mikołaja z Kurowa, a już widzimy Rytwiany w rękach Jastrzębców.

Nabył je Wojciech z Łubnic Jastrzębiec, arcybiskup gnieźnieński; on tu postawił zamek, z którego dzisiaj tylko jedna baszta pozostała. Rytwiany takim sposobem stały się niejako stolicą obszernych dóbr, bo i ojczyste Łubnice w sąsiedztwie leżały. Pierwszy Marcisz, synowiec arcybiskupa, pisał się naprzemian to z Łubnic, to z Rytwian, a że przed śmiercią nabył jeszcze Zborów, o trzy mile tylko od Rytwian odległy, pisał się także ze Zborowa Marcisz, jak powiada kronika, miał dwudziestu synów, z których kilku poległo na wojnie pruskiej za panowania Kazimierza Jagiellończyka. Najstarszy jego syn Dersław pisze się już stale z Rytwian. Byłato osobistość w swoim czasie nader wybitna: dumny, zuchwały, przedsiębiorczy, rycerski, lekkomyślny, sentymentalny nawet, co mu zupełnie nie przeszkadzało własnych braci skrzywdzić, dziada arcybiskupa zrabować, sąsiadów nękać, królowi grozić. — Byłto prototyp późniejszego magnata z czasów po-jagiellońskich, zawsze do usług skory, byle mu te były wynagradzane często i hojnie; jeżeli zaś król miłościwszem okiem popatrzył na kogo innego, malkontent gotowy, chociażby miał zbrojnym rokoszem dowieść królowi, że on powinien być

pierwszym w państwie, że jego pominąć niewolno. Hojny aż do rozrzutności, ostatnią koszulę oddawał i ostatnią pierwszemu lepszemu zabierał, słowem, wierne odbicie średniowiecznego rycerza. Młodzieńcem będąc, zakochał się w Ofce, córce Bolesława Mazowieckiego. Zaloty kosztowały wiele, Dersław majątku już swego nadszastał na nie znacznie, dziad arcybiskup, kochając go najwięcej z rodziny, długo dopomagał, ale dziadek lubił także pieniądze, nie rad się z niemi rozstawał, zwłaszcza, że nie widział pomyślnego skutku zabiegów wnuka o rękę księżniczki Eufemii. Dersław często jeździł do swej lubej, a zawsze dwornie i zbrojnie, posiłkował nieraz ojca swojej oblubienicy licznemi hufcami w zapasach jego z braćmi, Krzyżakami i Litwinami. Musiało to wyczerpać jego dochody i grozić nawet całkowitą ruiną majątku. Na dworze Mazowieckim o zrujnowanym szlachcicu słyszeć nie chciano; trudności jeszcze bardziej zapaliły wyobraźnię Dersława. Pieniędzy potrzebował gwałtem i mieć je musiał, mniejsza o środki ich nabycia.

Arcybiskup zwierzył raz najukochańszemn wnukowi w chwili jakiegoś szczególniejszego rozczulenia, że w kaplicy bersowskiej ma ukryty spory skarb za ołtarzem. Dobrać się do tych skarbów, a skończy się bieda, znowu będzie można szumieć, jeździć do Warszawy lub Czerska, kochać się, prowadzić dwór pański. Matka, Dorota z Tarnowa, pierwsza podobno, tak przynajmniej przypuszcza Długosz, który osobiście Dersława znał i niejednę z nim czynność publiczną wspólnie odbywał, poddała mu myśl zabrania dziadowskich skarbów. Co księdzu po pieniądzach, dzieci nie ma, kiedyś i tak to wszystko na ciebie i braci spadnie, sam sobie winien, że ci do połączenia się z panującym książęcym domem dopomódz nie chce; zresztą jak się ożenisz z Ofką, to mu pieniądze wrócisz. Takie musiały być rozumowania pani Doroty wobec syna i własnego sumienia. Istotnie, jednej pięknej nocy napadł Dersław w towarzystwie swych przyjaciół na kaplicę w Bersowy i skarb zabrał, a było tego 40,000 grzywien srebra, grzywna po 48 szerokich groszy, co wynosi prawie 2.000,000 ówczesnych złotych, a na dzisiejszą wartość monety, biorąc za podstawę cenę korca żyta wówczas i dzi-

siaj, prawie 40.000,000, sumę 6½ większą niż ta, za którą Zbigniew Oleśnicki kupił księstwo Siewierskie.

Świętokradztwo i rabunek uszły Dersławowi bezkarnie. Wprawdzie arcybiskup w pierwszej chwili uniesienia chciał siłą odzyskać swoją własność, ale Dersław stawił mu zbrojny opór; do arcypasterza, nadciągającego groblą na zamek Rytwiański, dano ognia z palnej broni i wypuszczono moc strzał; przestraszony starowina kazał coprędzej nawracać. Dla uniknienia skandalu całą sprawę uciszono, co tem łatwiej poszło, że i ze skarbca niewiele pozostało, kochani koleżkowie wyprawy rozerwali go między siebie, już to zaraz po dokonanym rabunku, już to podczas obrony w zamku Rytwiańskim; każdy z nich widząc hufce nadciągające arcybiskupa, brał, co chciał i mógł, z obawy, jak się tłómaczyli przed Dersławem, żeby go dziadek nie odzyskał. Skończyło się na tem, że zwrócono arcybiskupowi kilka puharów złotych i kulbakę drogiemi kamieniami zdobną.

Ponowił teraz Dersław zaloty, większym jeszcze zbytkiem i wystawnością otoczony niż przedtem, ale i teraz jakoś nie szło. Zdaje się, że mu obiecywano Ofkę pod warunkiem, jeżeli jej ojcu dopomoże do uzyskania korony polskiej po śmierci Jagiełły. Widzimy go też po śmierci króla roku 1434 żwawo uwijającego się przeciwko królewiczowi Władysławowi (Warneńczykowi). On i krewniak jego przez matkę, Spytek z Melsztyna, rej wodzą na zjeździe opatowskim, mającym na celu przeszkodzić koronacyi starszego syna nieboszczyka króla, a osłaniając prywatę pozorem gorliwości o dobro publiczne, głoszą, że w takich burzliwych czasach król małoletni nie odpowiada potrzebom kraju. Zgromadzona szlachta już się chyliła do widoków obydwóch hersztów zjazdu, gdy nagłe zjawienie się kardynała Oleśnickiego pomięszało im szyki. Władysław Jagiellończyk został ukoronowany przez Wojciecha Jastrzębca. Byłato prawie ostatnia czynność arcybiskupa, umarł wkrótce potem r. 1436. Śmierć dziadka, zawiedzione nadzieje pozyskania tronu polskiego, a przynajmniej rejencyi w czasie małoletności Władysława, znowu oziębiły stosunek między dworem Mazowieckim a Dersławem. Przyczyniały się do tego i inne względy: nie sprzyjał zalotom Dersława dwór Wiedeński, spokrewniony z książętami Mazowieckimi przez Cymbarkę ciotkę Ofki, a matkę późniejszego cesarza Fryderyka III; nie rad im także być musiał zmarły król Władysław i świeżo ukoronowany syn jego, raz z polityki, ażeby ich poddany przez taki związek nie stał się zbyt potężnym i niebezpiecznym, powtóre, przez dumę rodową niechętną kolligacyi z niższymi, a właśnie Cymbarka była siostrzenicą Jagiełły, a cioteczną siostrą Władysława i Kazimierza.

Nierówność urodzenia była ostatecznie główną przeszkodą tego małżeństwa. Dersław nie pochodził z panującego domu, ani był panującym księciem; wadę urodzenia trudno było naprawić, ale dlaczegóżby nie miał posiadać księstwa? Kupił księstwo kardynał Zbigniew na Szlązku, dlaczegóżby i on nie miał kupić? Książęta szlązcy zadłużeni po uszy, zeszli na błędnych rycerzy, błąkali się po całym świecie, szukając przygód i majątku. Zresztą w razie, gdyby nikogo wśród nich nie było, coby się chciał ojcowizny pozbyć, można było zdobyć księstwo z orężem w ręku. Zdaje się, że wówczas księstwa na sprzedaż nie było, rozmiłowany Dersław postanowił zatem zdobyć je sobie bronią. Za resztki skarbów dziadowskich zebrał orężną drużynę, opanował zamek Zatorski, poczem całe księstwo Oświęcimskie mu się poddało. Księstwo już było, nawet dwa, trzeba się tylko było przy zaborze utrzymać; to poszło już nie tak gładko. Lekkomyślny Dersław obchodził świetny wynik wyprawy ucztami bez końca; pił wódz, piło i rycerstwo, na zmroczonych snem i winem napadli Szlązacy, jednych wycięli, drugich zabrali w niewolę. Dersław wyczerpawszy na tę wyprawę ostatnie zasoby, nie mając środków na drugi zaciąg, oddaje królowi Zator, zastrzegłszy sobie tylko zwrot kosztów poniesionych. Król Władysław Jagiellończyk dał mu gotówką 1000 grzywien i przyobiecał najbliższe wakujące starostwo.

Zrujnowany pan rytwiański nie mógł już myśleć o księżniczce mazowieckiej, chociaż mu ta stałą pozostała do śmierci i w panieńskim stanie umarła (wkrótce jakoś po ojcu, a więc już po roku 1455).

Odtąd nie pozostało mu, jak w łasce królewskiej szukać karyery. Tak też uczynił; nie widzimy go nawet na zjeździe Piotrkowskim w r. 1446, na którym znaczna część

świeckich magnatów, zniechęcona wahaniem się królewicza Kazimierza w przyjęciu korony po zgonie brata pod Warną roku 1444, wybrała królem Bolesława Mazowieckiego, ojca jego bogdanki. Widocznie wszystkie stosunki między nim a dworem Mazowieckim były zerwane.

Nie zawiódł się Dersław na łasce królewskiej. Król Władysław nadał mu starostwo chmielnickie, brat jego Kazimierz starostwo sandomirskie, najintratniejsze z ówczesnych starostw, kiedy nie było jeszcze starostw ukraińskich; w biegu czasu został kasztelanem rozperskim, wojewodą sieradzkim, dalej wojewodą sandomirskim, następnie wojewodą krakowskim, wkońcu otrzymał najwyższą godność w Senacie, kasztelanię krakowską. Do podtrzymania coraz wyższych godności przybywały nowe starostwa, przy statku i oszczędności mógł młodociane wybryki powetować, ale lata i doświadczenie nie wiele w nim zmieniły pierwotnej natury, dwór u niego zawsze musiał być okazały, życia bez zbytku nie zdawał się pojmować, wyższe godności stawały się tylko powodem do nowych większych wydatków.

Przypatrzmy się teraz, czy usługi jego oddane królowi, odpowiadały jego hojności i łasce.

Tu już powiedzieć musimy, że nie.

Dersław zerwawszy z książętami Mazowieckiemi, chciał służyć Jagiellonowiczom życzliwie i gorliwie, ale charakter jego lekkomyślny nie pozwalał mu wypełnić obowiązków dobrze, próżność nie mogła znieść żadnej przygany, a duma kazała mu mścić się za najmniejszy uczyniony mu zarzut lub okazane niezadowolenie. Jako nieprzyjaciel był niebezpieczny, jako stronnik bardzo niewygodny i niepewny; trzeba go było oszczędzać, wysuwać naprzód, a spuścić się na niego, a tem mniej oprzeć na nim było niepodobnem i prawie równie niebezpiecznem, jak otwarta jego niechęć.

Wrażliwy jego umysł nie umiał w żadnej sprawie zachować konsekwencyi i wytrwałości; dwie sprawy jednak mu się udały i te właśnie więcej wskutek jego wad, niż zalet. Pierwszą była przeprowadzenie małżeństwa Kazimierza z córką Alberta Austryackiego, cesarza Niemieckiego. Dwa razy jeździł w poselstwie dotyczącem tej sprawy, raz do Wiednia z prośbą o rękę cesarzownej, drugi raz do Wrocławia dla umowy o warunki tego małżeństwa. Rycerski, otwarty, pełen galanteryi, kwestye pieniężne, o które głównie chodziło, traktujący, jak przystało na wielkiego pana, z lekceważeniem, musiał się podobać córce, a przez nią i ojcu. Elżbieta została królową polską i dla dziewosłęba zachowała stateczną życzliwość. Jej orędownictwu zawdzięcza przeważnie swoje wyniesienie i wyposażenie.

Drugą sprawą, pomyślnie przez niego przeprowadzoną, było pośrednictwo między mieszczanami krakowskimi a domem Tenczyńskich.

Rzecz się tak miała: Andrzej Tenczyński, brat kasztelana krakowskiego Jana, pobił płatnerza Klemensa za to, że mu zbroi na czas umówiony nie wygotował, a wybierał się właśnie na wyprawę pruską. Było to r. 1461. Na drugi dzień po tem zajściu, płatnerz, spotkawszy na ulicy Tenczyńskiego, idącego w towarzystwie dwóch mieszczan, ośmielony ich obecnością, a może nawet podcięty na fantazyę, zaczął wykrzykiwać na Andrzeja, robiąc przytem ruch, jakby miał zamiar policzkiem odpłacić mu wczorajszy ból i zniewagę. Że giest płatnerza doprowadził Andrzeja do ostateczności, łatwo pojąć. Oburzony pan na Tenczynie, członek najpotężniejszej naówczas rodziny w Polsce, której początek ginie w pomroce dziejów, kazał swoim sługom powtórnie porwać płatnerza i jeszcze dotkliwiej go oćwiczyć. Krwią zalany płatnerz udał się na ratusz z żałobą; równocześnie zawiadomiono królową Elżbietę o tem, co zaszło. Królowa postąpiła jak najrozsądniej, odkładając sprawę do jutra dla spóźnionej pory, była już bowiem godzina dwudziesta druga, czyli 10-ta w nocy, według naszej rachuby. Noc przeszła napozór spokojnie, wewnątrz jednak mieszczańskich domów kipiało jak w garnku. Starszyzna miejska zamiast uspokajać umysły, dolewała oliwy do ognia.

Królowa dowiedziawszy się o stanie umysłów w mieście, wysłała do Tenczyńskiego, ofiarując mu mieszkanie na Zamku, dopóki ferwor nie przeminie. Ten jednak nie chcąc po sobie pokazać, że go oburzenie pospólstwa obchodzi, za łaskę podziękował i jakby na urągowisko przechadzał się z przyjaciołmi po ulicach miasta. Nagle uderzono we dzwony na trwogę, każdy z bronią, jaką miał pod ręką, pędził na ratusz; rozjątrzonych i rozbolałych jeszcze bardziej podbu-

rzyły mowy zagorzalców, jakich zawsze w chwilach krytycznych znaleść można. Andrzej znajdował się właśnie na ulicy Brackiej, gdy dzikie krzyki, i groźby doleciały jego uszów. Zaniepokojony, wszedł do domu Kriedlera na tejże ulicy i kazał bramę za sobą zatarasować. Stary Kriedler, były rajca, zobaczywszy Tenczyńskiego w swym domu, zaczął w niebogłosy narzekać, że siebie nie uratuje, a jego zgubi, dlaczego gdzieindziej nie szuka schronienia, czy chce narazić go na ogólną nienawiść współbraci, dość, że Tenczyński tem gadaniem podrażniony, dom starego Niemca opuszcza i szczęśliwie dopada klasztoru Franciszkańskiego wraz z przyjacielem swoim, młodym Janem z Melsztyna. Zdawało się, że wszystko skończy się na strachu, lecz gdzietam, lud rozwścieklony nie poszanował domu Bożego. Poczęto szturmować do bramy kościoła; Andrzej, który się był schronił się na wieżę, schodzi i w zakrystyi szuka bezpieczniejszego ukrycia. Niejaki Dojzwon kościelny bierze od niego 200 złotych i wskazuje mu skrytkę, której trudno się było domyślać, lecz gdy lud drzwi wyłamał i hurmem wtłoczył się do zakrystyi, niewiedzieć, czy z trwogi, czy porwany ogólnym szałem nienawiści, jaką każdy mieszczanin pałał wówczas ku możnowładcy, wskazał na ukryte drzwi. Wnet Tenczyńskiego wywleczono i długo się pastwiąc nad nim, w najokropniejszy sposób zabito.

Król Kazimierz, gdy mu o tem doniesiono, nie bardzo zdawał się brać do serca tego wypadku; rozżalony ze swej strony na szlachtę, że mu żądanych poborów na wojnę pruską odmówiła i osobiście w małej tylko liczbie wzięła w niej udział. Gdy jednak Jan Amor Tarnowski, kasztelan wojnicki, na czele rycerstwa udał się do namiotu królewskiego, i tam wśród płaczu i jęku jął dopraszać majestatu ukarania winowajców, król się rozczulił i żądaniu rycerstwa tak dobrze, jak wymaganiom sprawiedliwości, zadosyć uczynić przyobiecał.

Wyprawa pruska, mimo osobistego w niej udziału króla, nie odniosła pożądanego skutku, szlachta w niej uczestnicząca, więcej była zajęta wypadkiem krakowskim, niż wojną; król musiał zaciągi rozpuścić i do domu na sądy wracać.

Jeszcze z drogi wydał pozew mieszczanom krakowskim,

aby się stawili przed nim na zjeździe walnym w Nowem-Mieście. Zamiast nich pojawił się tam tylko szlachcic Oraczowski herbu Szreniawa, przedkładając królowi przywilej opiewający: że mieszczanin krakowski tylko w Krakowie ma przed królem stawać. Formalność prawna była po stronie mieszczan, trzeba było sądy odroczyć aż do przyjazdu króla do Krakowa. Szlachta o swoje przywileje tak dbała, nie mogła pojąć, jak można dla jakiegośtam pargaminu robić tyle ceregieli z mieszczuchami. Oraczowskiego za to, że będąc sam szlachcicem, śmiał się podjąć obrony praw miejskich, o mało w kawałki nie rozsiekano, ledwie udało się królowi zasłonić go własną osobą. Nie szczędzono głośnych przytyków królowi, że nieszczerze w tej sprawie postępuje.

Powołani rajcy powtórnie na Zamek przed króla, daremnie już zasłaniali się przywilejem: że nie w Zamku, ale w mieście, nie przed królem, ale przed wójtem, nie według prawa polskiego, ale magdeburskiego sądzeni być mają. I tym razem słuszność była po stronie mieszczan, szlachta jednak taki uczyniła gwałt, że trzeba się było obawiać, aby sobie sama sprawiedliwości nie chciała wyrządzić; obawa bardzo ugruntowana, gdyż całe prawie rycerstwo przybyło umyślnie z królem do Krakowa, dla dopilnowania sprawy, jak mówili.

Odpowiedziano zatem mieszczanom, że zapóźno z przywilejami występują, takowe trzeba było w Nowem-Mieście przedłożyć, a nie tutaj. Po tej odpowiedzi stawili się niebożęta na Zamku; syn zabitego osobiście przeciwko nim instygował; na mocy jego przysięgi, chociaż naocznym świadkiem zabójstwa nie był, będąc ukrytym w piecu w czasie katostrofy przez jakąś poczciwą mieszczkę. Dziesięciu za najwinniejszych uznanych, skazano na śmierć i tych natychmiast Tenczyńskim wydać polecono; oprócz tego skazano miasto na zapłacenie rodzinie zabitego 40 tysięcy dukatów.

Tenczyńscy sześciu na Zamku ściąć kazali, czterech uwieźli ze sobą na Zamek rabsztyński, gdzie mieli dotąd w turmie pozostawać, dopóki miasto przysądzonej im kary nie zapłaci. Zawziętość Tenczyńskich była tak wielka, że nawet wstawienie się za niektórymi obojga królestwa nic nie pomogło. Za Jaroszem Szarlejem, którego brat rodzony odznaczył się w wojnach pruskich i rotmistrzował nadwornym

chorągwiom, chodziła królowa Elżbieta osobiście do domu Tenczyńskich z prośbą o zamienienie kary śmierci na więzienie. Wszystko napróżno. Dwaj najgłówniejsi winowajcy, płatnerz Klemens i kościelny Dojzwon, wczesną ucieczką ratowali życie i wolność, sądząc może, że w razie ich nieobecności miasto winę na nich zwali i tym sposobem się uratuje. Półtora roku siedzieli już biedni zakładnicy w więzieniu, a o zebraniu tak ogromnej sumy ani myśleć nie było można.

Wysłał tedy król Dersława do Tenczyńskich, ażeby ich nakłonić do opuszczenia jakiejś części z przyznanej im sądownie sumy. Wysłannik królewski tak się zgrabnie wziął do rzeczy, tak umiał trafić w miłość własną i dogodzić dumie Tenczyńskich, że nadspodziewanie sprawa poszła gładko. Coś zapłacić powinni, mówił Dersław, będzie to dla nich nauczką, żeby się na przyszłość do buntów nie kwapili, ale niech nie myślą, żeby kroplę krwi jednego z nas zapłacić potrafili, na to skarby całego świata nie wystarczą. Skończyło się na zapłaceniu sześciu tysięcy czerwonych złotych, poczem więźniów natychmiast wypuszczono.

Oprócz dwóch tych spraw, nie umiemy nic więcej zanotować na korzyść zasług pana Rytwiańskiego; *activa* są skromne, za to *passiva* okazałe.

W wojnie pruskiej przyprowadził królowi osobiście dobrze poszytą chorągiew; wyprawa ta jednak skończyła się klęską naszych pod Chojnicami, głównie winą Dersława. Onto najbardziej domagał się stoczenia bitwy, wbrew radom Wojciecha Kostki, Czecha, którego potomstwo odtąd w Polsce pozostało i do najwyższych przyszło godności. Kostka, doświadczony wojownik, radził chorągwie nadworne pod Chojnice ściągnąć, a tymczasem podjazdami nieprzyjaciela trapić, męszając go, zmniejszając ufność w siebie. Dersław sądził, że z Krzyżakami równie łatwa sprawa, jak ongi z dziadunieм Wojciechem, wdał się w bitwę i okrył Polskę żałobą i sromotą. W roku 1461 był znowu z królem na wyprawie, ale i teraz niczem się nie odznaczył.

Nie lepszym wodzem, a tym razem już naczelnym, okazał się w wyprawie węgierskiej r. 1471 przeciwko Maciejowi Czarnemu. Prawda, że Maciej był jednym z największych wojowników swojego czasu; zostać pobitym przez niego nie

byłoby nic nadzwyczajnego, zdaniem jednak Długosza, główną przyczyną przegranej była lekkomyślność i nieudolność wodza. Królewicz Kazimierz po śmierci policzony w poczet świętych, za życia nie był obojętny na doczesną koronę; jegoto wiódł Dersław na królestwo Węgierskie, lecz pobity musiał do Polski uchodzić.

Zapewnie winy dowódzcy były ciężkie, kiedy oględny i umiarkowany król nie mógł się powstrzymać od okazania mu swego nieukontentowania.

Obrażony tem panek czyhał tylko na sposobność, aby oddać królowi wet za wet. Król prowadził bardzo oględną politykę przeciwko Turkom; smutny koniec brata czynił go niedowierzającym na wszystkie wezwania i zachęcania panów chrześciańskich, którzy obiecywali wiele, dotrzymywali mało i to po czasie, a siedząc zdaleka od granic tureckich, pchali najbliższych sąsiadów na silnego wroga, nie troszcząc się wiele o to, co się z nimi stanie. Nawet zajęcie Wołoszczyzny przez Turków nie zdołało zmienić polityki królewskiej. Czyto była polityka rozumna przy pustkach ustawicznych w skarbie, przy wielkiej stracie w ludziach, których pożarła wojna pruska, wlokąca się przez lat czternaście, to każdy wié dzisiaj tak dobrze, jak wiedziano wówczas.

Dersław, ocierający się zbliska o sprawy, wiedział o tem lepiej, niż inni, ale rozsierdzony na króla, występuje z całą gwałtownością swego temperamentu, z oskarżeniem nietylko króla, ale brata i ojca królewskiego, o zły rząd, o doprowadzenie królestwa niedawno jeszcze kwitnącego do ostatniej ruiny i upadku, przestrzega naród przed dalszem ich panowaniem. Winą królów z Jagiellońskiego domu, powiada, że Turcy osiedlili się w Europie, ich winą, że Chrześciaństwo nie może silnie wystąpić przeciw Islamowi!!!

Jesteśmy przekonani, że Dersław sam nie wierzył w to, co mówił, ale chciał się pomścić na królu i pomścił.

Po tej ostrej filipice usunął się zupełnie od życia publicznego, a zakończył je tak, jak zaczął, dogodzeniem własnej próżności, podeptaniem wszystkich względów, jakie się winno własnej krwi, Kościołowi i królowi. Odtąd nie opuszczał swoich Rytwian, do śmierci chmurząc się na króla. Umarł r. 1477.

Brat młodszy Dersława, Jan, wojewoda sandomirski i marszałek koronny, pisał się także z Rytwian, lecz na Rytwianach nie dziedziczył; Dersław odstąpił mu starostwo sandomirskie, jako wynagrodzenie za strwonione skarby arcybiskupie i zabraną ojcowiznę.

Syn Dersława, także Dersław, wojewoda sieradzki, umarł jeszcze przed ojcem; córka tego ostatniego, jedynaczka, wyszła za Kurozwęckiego podskarbiego. Podskarbiostwo nie mieli potomstwa męzkiego, Kurozwęki za jedną córką przeszły w dom Lanckorońskich, za drugą Rytwiany w dom Łaskich.

II.

Ostatnia Rytwiańska wniosła w posagu Rytwiany Stanisławowi Staszowi Kurozwęckiemu, jak o tem powiedzieliśmy w części I-szej. Pan Podskarbi, który umarł w r. 1516, założył nad rzeczką Czarną miasteczko, nazwane od jego imienia Staszowem. Miasta dostarczały jedynie nieco gotowego grosza właścicielom; kto tylko mógł, zakładał wówczas miasteczka, nadając im prawa magdeburskie. Prawdopodobnie już pod koniec życia podskarbiego Staszów założony został, wnosimy o tem z tego, że dopiero zięć jego Hieronim Łaski, wojewoda sieradzki, synowiec arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana, wyrobił dla niego w r. 1526 przywilej na jarmarki, mające się odbywać co poniedziałki Łaski, człowiek rzutny i obrotny, sprowadził z zagranicy zdolnych rzemieślników — sukna staszowskie słynęły w XVI wieku — niemały też dochód musiało miasto przynosić swoim panom. Biegiem czasu nadało ono nawet nazwę całemu kluczowi, znanemu powszechnie dzisiaj pod imieniem: dóbr Staszowskich. Starał się on także zaokrąglić majątek. Mieli Benedyktyni Świętokrzyżcy tuż obok Rytwian Koniomłoty, osadę, którą im jeszcze Bolesław Chrobry nadał. Łaski tak długo nękał zakonników, mając po sobie stryja arcybiskupa, aż ci dla miłego spokoju odstąpili mu je wraz z dwiema innemi wsiami w zamian za inny majątek, położony w pobliżu Śgo Krzyża. Rzucenie się Hieronima w wir życia politycznego nie pozwoliło mu zająć

się podniesieniem majątku tak, jakby to mógł i potrafił zrobić. Syn jego Albrecht, więcej za granicą, niż w kraju przesiedział, a jeżeli mimo to Staszów nie upadł, zawdzięcza to więcej własnej żywotności, niż opiece swych panów.

Hieronim i Albrecht Leonard Łascy, ojciec i syn, to niepośledni reprezentanci ducha czasu, w którym żyli i działali. Obaj na swój czas wysoko wykształceni, odważni, ambitni, zręczni, wymowni, mogli oddać Polsce wielkie usługi, stanąć w rzędzie tych niewielu, którymi się ojczyzna po wszystkie czasy chełpić będzie. Niesforność, lekkomyślność, duch awanturniczy pchały ich gdzieś na szeroki świat, gdzie może dogodzili własnej próżności, ojczyznie swej jednak takiej korzyści nie przynieśli, jakiej po ich środkach materyalnych i niezaprzeczonym talencie miała prawo oczekiwać.

Hieronima bogate ożenienie, własny majątek, protekcya stryja, zdolność osobista, wprowadziły do Senatu, kiedy nie miał jeszcze 20 lat skończonych. Bogiem a prawdą, takie szybkie wyniesienie człowieka, który się jeszcze niczem nie odznaczył, musiało zadziwić wszystkich, oburzyć wielu; pojmowano u nas wprawdzie i zgadzano się na wyniesienie szybkie młodzieńca, chociażby niezasłużonego, ale którego przodkowie oddali przeważne usługi królowi i Rzeczypospolitej. Dom Łaskich nie znajdował się w takich okolicznościach, miał on senatorów w swoim rodzie, nie przeczymy, czyny ich nie były jednak ani głośne, ani znamienite; zasługi ks. arcybiskupa były rzeczywiste, nie takiej atoli natury, aby olśnić wyobraźnię szlacheckiej rzeszy. Prymas był oszczędny, skwapliwie gromadził pieniądze, w postępowaniu z różnowiercami przyostry, kiedy przekomarzanie się Kościołowi dawało popularność i otaczało jakimś urokiem postępu i samodzielności myślenia. Właśnie te zalety arcybiskupa usposabiały większość źle dla niego, a część tej niechęci do stryja musiała koniecznie spadać na synowca. Jeżeli nadanie Hieronimowi województwa Inowrocławskiego wywołało szmery, to posunięcie go wkrótce na krzesło województwa Sieradzkiego stało się przyczyną głośnego nieukontentowania i narzekania. „Młokos bierze z przed nosa dostojeństwa starszym, którzy na usługach kraju majątki i zdrowie potracili,“ mówiono powszechnie i podobno nie bez podstawy. Ostatnie wojewódz-

two wziął jako nagrodę za odprawione poselstwo do Francyi i wyłożone nań koszta. Rzecz się tak miała: Franciszek I wysłał Rangoniego do Zygmunta z doniesieniem o wstąpieniu swojem na tron, z zaproszeniem do związku powszechnego panów chrześciańskich przeciwko Turkom, nadto z propozycyą połączenia obydwóch domów królewskich związkami małżeńskiemi. Trzeba było za grzeczność odpowiedzieć grzecznością. Wybór Łaskiego na posła spowodowany był przeważnie jego znajomością zagranicznej etykiety dworskiej i obcych języków, mianowicie francuskiego. Majątek jego wchodził także w rachubę. Potrzeba było, aby poseł reprezentował Polskę nietylko godnie, ale i wspaniale. Przysłowie: jak cię widzą, tak cię piszą, nigdy nie było prawdziwszem, niż wówczas; Łaski pieniędzy nie żałował, a tam, gdzie szło o pokazanie się, był hojnym aż do rozrzutności. Nieprzyjaciele Łaskich zaczęli poselstwo to wystawiać jako mające na celu wciągnąć Polskę do przymierza z Francyą przeciwko Austryi, i już widzieli, jak Austrya i cesarstwo walą się na Rzeczpospolitę. Według ich rozumowań miało już być koniec Polski. Co do pierwszej części tych przypuszczeń, wybór posła bardzo się do nich nadawał, prymas i jego synowiec uchodzili już oddawna za stronników przymierza z Francyą. W instrukcyi danej Łaskiemu nie widzimy jednak nic podobnego, a nie sądzimy, żeby ustne polecenia zdradził, gdyby takowe rzeczywiście udzielone mu były. Instrukcya przeważnie dotyczy projektowanego małżeństwa, jest w niej mowa i o posagu, i o oprawie wdowiej, i o wyprawie. Mimochodem dotyka tylko księstwa Medyolańskiego: „poseł ma oświadczyć, że pan mój nie pojmuje sporu między Najjaśniejszym królem chrześciańskim a cesarzem o Medyolan, gdyż jest on niezaprzeczoną własnością królowej Bony.“ Ustęp ten zarówno niemile dotykał Karola V, jak i Franciszka I.

O przymierzu przeciwko domowi habsburskiemu niema wzmianki, a proponowany i rozbierany związek małżeński był ewentualnością bardzo daleką, bo księżniczki polskie miały dopiero po kilka lat, a Zygmunt August nie schodził jeszcze z rąk nianiek.

Dosyć, że niechętni nie mieli słów nagany i potępienia dla Arcybiskupa i Wojewody, a byli i tacy, co całe to poselstwo nazywali zdradą interesów polskich. „Takie tylko usługi dziś u dworu wynagradzają,“ mówiono powszechnie. Hieronimowi nie podobały się te mowy, uważał je za płód zazdrości, odsunął się wskutek tego zupełnie od spraw publicznych i poświęcił się sprawom majątkowym. Niewiadomo, na czemby się były te fochy skończyły, kiedy przypadek nastręczył jego fantazyi nowe zajęcie.

Po śmierci króla Ludwika pod Mohaczem jedna część Węgrów powołała na tron Jana Zapolyę, dotychczasowego wojewodę siedmiogrodzkiego, szwagra króla Zygmunta, druga arcyksięcia Ferdynanda, męża siostry poległego króla. Zapolya, pobity pod Koszycami, schronił się do Polski, gdzie znalazł uczciwe przyjęcie w domu hetmana Jana Tarnowskiego, który mu na mieszkanie oddał miasto Tarnów i dochody z całego hrabstwa. W Polsce były zdania podzielone co do polityki węgierskiej: jedni radzili wspierać króla Jana, do tych należał arcybiskup Łaski, dawniej już wciągnięty przez dwór francuski do polityki anti-austryackiej; większość, jeśli niewyraźnie sprzyjała Austryi, to życzyła sobie neutralności. Król zastosował się do woli większości, inaczej bowiem nie mógł, skarb był zawsze pusty, szlachta z niechęcią zezwalała na pobory, kiedy szło o obronę własnych granic; odmówiłaby ich bezwątpienia na popieranie polityki, w której natychmiastowej korzyści dla Rzeczypospolitej nie widziała. Kiedy rząd polski zachowuje się biernie, niektórzy magnaci zajmują się bardzo gorąco sprawą wygnanego króla.

Cały rok prawie bawił Zapolya w Tarnowie, przyjmując u siebie chętnie nietylko panów, ale i uboższą szlachtę. Ktokolwiek z gościny od niego wracał, był już jego stronnikiem; wszystkich cieszyło, że mogli z królem, wprawdzie wygnanym, ale zawsze królem, tak sobie poufale porozmawiać jakby z prostym śmiertelnikiem.

Hieronim, mieszkający w Rytwianach, pół dnia drogi od Tarnowa, bywał tam częściej niż inni, on też musiał zapoznać wygnańca z przeorem ówczesnym Paulinów na Jasnej Górze, Jerzym Martinuzzim, a właściwie Utieszyńcem, Kroatem z rodu. Tutaj w Tarnowie dwaj ci ludzie, Łaski i Martinuzzi, powzięli śmiały zamiar odzyskania tronu węgierskiego dla króla Jana.

Rzecz nie była łatwa. Większa część magnatów węgierskich stała po stronie Ferdynanda, wspierał go nadto brat Karol V, cesarz Niemiecki. Tylko nadzwyczajny środek mógł im zapewnić powodzenie. Tego nadzwyczajnego środka chwycono się; że tego nie robili z lekkiem sercem, przypuszczać się godzi. Chodziło nie o mniej, nie o więcej, jak o przywołanie Turków na pomoc. Potrzeba było albo wielkiej lekkomyślności, albo wielkiej odwagi, aby taki zamiar powziąć i przeprowadzić. Turcy byli wtedy postrachem i zgorszeniem chrześciaństwa. Europa zakłócona różnemi naukami reformatorów, na jedno przecież się godziła: że Osmanów trzeba wygnać do Azyi. Otóż zamiast zjednoczenia wszystkich sił chrześciańskich przeciwko Turkom, wiązać się z nimi, przywoływać ich w samo serce cywilizowanego świata, to coś wyglądało na zdradę chrześciaństwa i cywilizacyi, do tego któż to uczynił? synowiec arcybiskupa, wykarmiony i spanoszony na kościelnym chlebie i zakonnik katolicki! Że opinia powszechna przeciwko nim się podniesie, nie mogli na chwilkę powątpiewać. A jednak polscy zwolennicy króla Jana nie dali się niczem odstraszyć. Martinuzzi pieszo kilkakrotnie obszedł Węgry, badając usposobienie wpływowych osób, zdaleka przygotowywując Madziarów na powrót Zapolyi i możliwą pomoc turecką. Rządy austryackie w Węgrzech były tego rodzaju, że nawet na pomoc Turków się godzono, byle uniknąć gospodarki niemieckiej. Zabezpieczywszy się z tej strony, pobiegł Łaski do Konstantynopola i nadspodziewanie pod bardzo korzystnemi warunkami układ do skutku doprowadził. Padiszach uznał Jana królem, przyobiecał pomoc, nie wymagał nawet, aby go formalnie uznać zwierzchnim panem; zamiast kontrybucyi zadowalniał się dobrowolną roczną donatywą. Prawda, w rzeczywistości trochę to inaczej wyglądać miało: forma układu nie była rażąca, nie obrażała miłości własnej Węgrów, a zastosowanie praktyczne umowy zawisło od okoliczności i stanowiska, jakie sobie król Jan wyrobi. W danem położeniu niepodobna było marzyć o lepszych warunkach. Nie chcemy przeceniać zdolności dyplomatycznych Łaskiego, pojmujemy dobrze, że na pierwszy moment wystarczało Solimanowi najlżejsze zobowiązanie się względem niego; zawsze przyznać potrzeba, że nikt inny nie

przeprowadziłby gładziej tej sprawy, a usługa w tym względzie oddana Janowi, górowała nad wszystkiemi usługami reszty jego stronników. Łaski nie pozostał w połowie drogi, raz się poświęciwszy Janowi, prowadził jego sprawę dalej, a zawsze energicznie i rozumnie, nie żałując nawet worka. Ot i teraz trzeba było królowi spiesznie powracać na Węgry. Przedstawić się narodowi, lubiącemu wystawność i zbytek, w towarzystwie kilku, kilkunastu luzaków nie wypadało. Zapolyi zależało wiele na tem, aby do ojczyzny wracał jako król, a nie jak błędny rycerz; cóż, kiedy wygnaniec nie miał za co uskutecznić najmniejszego zaciągu. Łaski majątek swój zadłużył, na stryju arcybiskupie nieco grosza także wydusił i to wszystko oddał królowi, ofiarując mu krom tego zamek swój rytwiański na plac zborny dla mającego powstać zaciągu.

Za te przysługi obiecał mu Jan, umocniwszy się na tronie, oddać w dożywocie księstwo Siedmiogrodzkie.

Ferdynand poinformowany o zabiegach Łaskiego w Konstantynopolu, wysłał także z swojej strony posłów dla sparaliżowania czynności wojewody sieradzkiego. Niewiadomo, czy ograniczenie bezmierne, czy też przekonanie, że się już nic dla sprawy Ferdynanda zrobić nie da, wysłańcy takie Porcie postawili żądania, że już te wojnę między Austryą a Turkami sprowadzić musiały. Za ofiarowane dobre sąsiedztwo wymagali zwrotu 20 kilku zamków i miasteczek, dawniej już przez Solimana lub jego poprzedników zdobytych. Dałoby się przypuścić, że Ferdynand tym krokiem chciał sobie zjednać przychylność Węgrów i chrześciaństwa, manifestując tak dobitnie, jak mu na sercu leżą interesa tak swoich poddanych, jak i współwyznawców; zważając jednak, że posłowie mogli te żądania życiem przypłacić, a miłośników dobrowolnego męczeństwa w tej epoce było mało, musimy przyjąć za pewnik, że byłto wyskok znanej zarozumiałości i pychy, a posłowie nie mieli nawet świadomości, na co się narażają. Soliman w pierwszej chwili oburzenia kazał ich wtrącić do więzienia, wnet ich jednak wypuścił i do domu odesłał z poleceniem oświadczenia arcyksięciu, że sam niebawem będzie w Wiedniu i tam z nim rachunki załatwi; „podziękujcie mu przytem za względność dla mnie, że nie

wymaga przynajmniej odemnie zwrotu Konstantynopola.“ Takim sposobem sam Ferdynand poparł najlepiej u Turków sprawę swego przeciwnika i w niedalekiej przyszłości naraził się na takie upokorzenie, jakiego niewiele przykładów zapisała historya. Franciszek francuski król mógł zawołać po przegranej pod Pawią: wszystko straciłem, prócz honoru; on chyba mógł odwrotnie zawołać: nic nie straciłem, prócz honoru.

Zapolya dowiedziawszy się, że sułtan uzbrojenia dokończył, wkroczył do Węgier, przejścia przez Tatry zastał nieobsadzone, Łaski także bez przeszkody opanował górne Węgry, pod Koszycami pobił Radaya, jednego z wodzów Ferdynanda, drugi Kacyaner zaledwie z życiem uciekł przed zbuntowanem własnem żołnierstwem. Z wyjątkiem Budy i kilku zamków położonych między Wagą, Rabą i Litawią, całe Węgry uznały Zapolę królem; Ferdynand nie mogąc podołać samemu Janowi, jakże mógł myśleć o stawieniu oporu połączonym siłom Jana i Solimana. Dwie wyprawy przedsięwziął sułtan na Austryę, w pierwszej zdobył Budę i oparł się o sam Wiedeń, który przez trzy tygodnie kazał ostrzeliwać, w drugiej ogniem i mieczem zniszczył Arcyksięstwo i Styryę, a w jassyr zabrał tak wiele, że można było kupić niewolnika za cztery złote. Trzeba było teraz udać się w pokorę i żebrać pokoju; sułtan nań zezwolił, ale warunki były bolesne. Ferdynand, obrany król rzymski, król Czech i części Węgier, arcyksiążę austryacki, pan Styryi i Tyrolu, brat potężnego cesarza Karola, w którego państwie słońce nie wschodziło i nie zachodziło, musiał zezwolić na to, że sułtan nie traktował go jako równego sobie, ale na równi ze swoim wezyrem; wezyra musiał uznać za brata, sułtana za ojca, z którego łaskawości i dobroci posiada to wszystko, co ma. „Pan mój,“ mówił poseł Ferdynanda do Solimana, „nie wiedział, że sobie życzysz posiadać Węgry, przekonawszy się teraz o twoich chęciach, życzy ci szczęścia i zdrowia w ich dzierżeniu.“ Co się tyczy granic między posiadłościami obydwóch królów, wyznaczył sułtan Alojzego Gritti, najzaufańszego dotąd sługę i przyjaciela Zapolyi, do ich wytknięcia. Nawet wybór Grittego był obmyślony na upokorzenie Ferdynanda, onto podsunął wezyrowi takie haniebne warunki i głośno się nawet z ich autorstwa przechwalał. Działo się to w r. 1533.

Dotąd szło Zapolyi wszystko wybornie, wnet jednak zaczęły się gromadzić nowe trudności. Ludzi, co się poświęcali jego sprawie, trzeba było wynagrodzić.

Ci, którym najwięcej zawdzięczał i którym trzeba było najwięcej dać, nie byli Węgrami; wiemy, że jeszcze w Polsce obiecał Łaskiemu województwo Siedmiogrodzkie, zdaje się nawet, że mu je dał; znajdują się dokumenty z podpisem Łaskiego, na których, obok tytułu wojewody sieradzkiego, stoi tytuł wojewody siedmiogrodzkiego; król Zygmunt w pismach do niego także mu ten tytuł nadaje. Teraz Węgrzy zaczęli sarkać, że obcy awanturnicy więcej u króla mają kredytu i lepiej są wyposażeni, niż krajowcy. Z Łaskim była łatwa sprawa, nie byłto człowiek, który szukał kawałka chleba, miał go podostatkiem w Polsce, i od króla Jana otrzymał prawem lennem Kiezmark i Dunajowce z przyległościami, oprócz tego dochody opactwa Czauszyńskiego. Ten dla złagodzenia umysłów od pretensyi do Siedmiogrodu odstąpił, mniejsza już o to, czy chętnie, czy niechętnie. Inaczej miała się rzecz z Grittim, wyniesionym do godności gubernatora Węgier. Gritti był człowiekiem mściwym, przebiegłym, grosza chciwym i wiecznie go potrzebującym, posiadającym wielki mir u Turków. Oddał on królowi rzetelne usługi, Łaskiemu pierwsze kroki ułatwił w Konstantynopolu. Jakże go teraz z kwitkiem puścić? było to dla króla sprawą osobistego honoru i konieczności politycznej utrzymać go na tej posadzie. Położenie wcale nieprzyjemne i niewygodne: usunąć go, narażał się Turkom, zatrzymać, trzeba się było obawiać jeżeli nie jawnego rokoszu Węgrów, to pewnego przerzucenia się malkontentów na stronę króla Ferdynanda, co zresztą i tak było codziennym chlebem węgierskich wielmożów; jednych i tychsamych magnatów widziano po kilka razy przechodzących to od Ferdynanda do Zapolyi, to odwrotnie. Biedny król nie wiedział, co i jak zrobić. Dodajmy do tego, że każdy znaczniejszy baron z jego stronników uważał się za główną podporę, a nawet twórcę tronu Zapolyi i wymagał, aby król tylko jego radami wyłącznie się powodował. Arogancya i chciwość Grittego złe powiększała, Łaski wzbudzał

u Węgrów zazdrość, ale go poważano; Grittego musiał się każdy obawiać, szanować nikt nie mógł.

Ztąd w stronnictwie rozkład, jeden na drugiego patrzał krzywo, a wszyscy szemrali na obcych przybłędów. Wyrodziły się najazdy i zajazdy, król nie miał ani dosyć siły, ani dosyć powagi, żeby wichrzeniom koniec położyć. Miłość jego własna cierpiała, że stał się bawidełkiem w rękach możnowładzców. Rozprężenie doszło do takiego stopnia, że niektórzy panowie nie uznawali ani jednego, ani drugiego króla za pana; byli tacy, którzy korzystając z anarchii, puścili się na życie rozbójnicze. Ludwik More, pan kilku obronnych zamków, niszczył swobodnie okolice kilku komitatów, nie zważając czy to były posiadłości Jana czy Ferdynanda. Łaski mimo, że wtedy był już zniechęcony, zburzył legowisko rozbójnika, zamek jego położony nad jeziorem Balota wysadził w powietrze, herszt jednak uciekł i znalazł przytułek i schronienie u króla Ferdynanda. Nie był król Jan także bardzo zadowolniouy z opieki tureckiej; Soliman powracając z drugiej wyprawy przez Węgry, niszczył posiadłości jednego i drugiego króla. Płacz i narzekania były powszechne. Jan wyrzucał sobie, wyrzucali mu także i inni, że sprowadził Bisurmanów do kraju, Rzym groził klątwą. Zaiste, najdzielniejszy umysł, największa energia, miały się o co złamać. Zapolya nie był to charakter niezłomny, ciężar który mu przyszło dźwigać, był trochę za wielki na jego barki. W takiem położeniu widział jedyny ratunek w pogodzeniu się z Ferdynandem, zawarł więc z nim tajemny układ, mocą którego obaj królowie przyrzekli sobie wzajemną pomoc, tak przeciw wewnętrznym jak i zewnętrznym wrogom. Po zgonie króla Jana, dzieci jego, gdyby takowe miał, nie powinny sobie rościć prawa do tronu, Ferdynand miał je tylko odpowiednio ich królewskiemu pochodzeniu wyposażyć.

Układ ten sprowadził na jego głowę nowe kłopoty, Łaski i Gritti byli mu wprost przeciwni, Węgrzy dosyć mu sprzyjali. Zamiast złagodzenia umysłów, jeszcze większe rozprężenie nastało między naczelnikami zwolenników króla Jana, Niechęć obcokrajowych stronników Zapolyi do tych układów, wyzyskiwali Węgrzy dla siebie, przedstawiając ich jako ludzi którzy mają na celu tylko własne zyski i wyniesienia, a których pomyślność kraju nic a nic nie obchodzi; „niechaj Węgry giną, byle im się dobrze działo,“ tak przedstawiono powszechności Łaskiego i Grittego. Takie stosunki długo trwać nie mogły, rozwiązać je było niepodobieństwem, trzeba je było rozciąć. Cięcie nastąpiło prędzej niż się spodziewano, niż przewidywali przeciwnicy, wykonane ono zostało prawie mimo ich woli.

Wspomnieliśmy już, że Grittego wyznaczyła Porta do rozstrzygnięcia sporu o granice między posiadłościami obydwóch królów węgierskich. Ukończył on już powierzoną mu czynność w Węgrzech, poczem w tymsamym celu udał się do Siedmiogrodu. Wojewodą Siedmiogrodu w miejsce odwołanego Łaskiego, mianowany został Emeryk Czimbak. On, Bebek i hetman hr. Maylath, byli głównymi doradcami zbliżenia się do Ferdynanda. Gritti gubernator Węgier, pełnomocnik padiszacha, wybrał się dworno i zbrojnie na miejsce nowej swej działalności, już przy wjeździe w obręb kraju powierzonego władzy przeciwnika swego politycznego, uczuł się niemile dotkniętym, że Czimbak nie wyjechał na jego spotkanie, dopiero po kilku dniach wyczekiwania stawił się, ale równo pokaźnie, szumno i dworno, jak gubernator. Już zdaleka zobaczywszy go Gritti zawołał zdzierając sobie z głowy sobolową czapkę, dar sułtana, niejako symbol udzielonej sobie władzy: ta czapka na dwie głowy zamała, trzeba ją przykroić, aby tylko na jednę wystarczyła. Dla przyjaciół Grittego były te słowa wyrokiem śmierci na Czimbaka. W nocy napadł na spiącego niejaki Doczy, poufny Grittego i bez odwołania się do swego bezpośredniego naczelnika, kazał mu głowę uciąć. Przyjaciel zabitego, Maylath, który w obronie porządku i pana swego nigdy nie mógł zebrać dostatecznej siły, teraz zebrał nagle 40 tysięcy na pomszczenie śmierci swego politycznego sojusznika, w Mediaszu dopadł Grittego, który wycieńczony na siłach, prawie bez obrony, oddał się w ręce wroga. „Głowa za głowę“ brzmiał wyrok zwycięzcy; Gritti został ścięty. Był on naturalnym synem doży weneckiego, długi czas zajmował się interesami swojej ojczyzny w Konstantynopolu, tam poznał Łaskiego, i odtąd wiernie i statecznie wspierali się wzajemnie. Tak pozbyli się Węgrzy Grittego, został im jeszcze Łaski, i tego postanowili zgubić. Rozgło-

szano więc na wszystkie strony, że obaj ci przyjaciele nosili się z myślą utworzenia sobie w Węgrzech udzielnych księstw pod protekcyą turecką. Wiemy z doświadczenia, co są warte podobne oskarżenia, rzucane przez przeciwników politycznych.

Dowiedzioną jest rzeczą, że Łaski o śmierci Czimbaka dowiedział się już po dokonanem morderstwie, a dowiedziawszy się, potępiał je, a nawet od długoletniego przyjaciela się odsunął. Mimo to przedstawiono Janowi, że zabójstwo Czimbaka było pierwszym krokiem do spełnienia knowanej przeciwko niemu zdrady. Potępienie przez Łaskiego dokonanej zbrodni na wojewodzie siedmiogrodzkim jest jednym dowodem więcej przeciwko niemu. „Cóż ma teraz czynić, mówiono, zbrodnia została odkrytą, zamiary ich sparaliżowane energicznem wystąpieniem węgierskiego hetmana, nie pozostało mu nic do zrobienia, jak wyrzec się wszelkiego wspólnictwa z przyjacielem.“

Król Jan wywiązawszy się źle z przyrzeczenia danego Łaskiemu co do województwa siedmiogrodzkiego, czując w głębi duszy że jemu tron zawdzięcza, musiał stawiać się na jego miejscu i zapytywać samego siebie, coby on zrobił, gdyby komu taką usługę oddał, a ten mu się nie wywdzięczył tak, jak należało i jak mu sam przyobiecał; głos wewnętrzny zapewnie mu odpowiedział: znienawidziłbym niewdzięcznika i mściłbym się na nim. Czy takie uczucie w Łaskim wrzało, na to nie możemy odpowiedzieć ani twierdząco ani przecząco; że zadowolonym nie był, wierzyć wolno, dość, że król sądził go według siebie, według tego sądu głosy oskarżające Łaskiego przypadły do przekonań jego. Podejrzliwy a bezsilny, musiał się udać do podstępu. Stał Łaski pod Waradynem, zkąd istotnie mógł podać rękę Grittimu, przyciśniętemu w Medziaszu, król tego połączenia teraz najbardziej się obawiał, wezwał go zatem umyślnym kuryerem do siebie pod pozorem, że pragnie zasięgnąć jego rady. Wezwany stawił się na rozkaz królewski na czele kilkuset koni, król przyjął go z wielkiem wyszczególnieniem, rozmawiał z nim bardzo poufale i odpuścił z zapewnieniem o swej łasce i przyjaźni. Ledwie odjechał za mury miasta, przypada do niego posłaniec królewski i prosi aby raczył się wrócić do króla na słóweczko; dla uniknienia jednak przypuszczeń gawiedzi, prosi, aby wrócił sam bez konwoju. Hieronim w najlepszej wierze wraca, wtedy król kazał go pojmać i do więzienia wtrącić. Gdyby był Łaski poczuwał się do najmniejszej winy, zapewnie tak naiwnymby nie był, aby się dać złapać na figiel, tak często w owych czasach praktykowany.

Co się działo w sercu dumnego człowieka, łatwo się domyśleć. Za tyle usług, tyle poświęcenia, odpłacono mu podłym podstępem i zdradą. Że teraz chciałby był zgnieść na miazgę niewdzięcznika, nie ma wątpliwości.

Gdy wieść o jego uwięzieniu doszła do Polski, wszyscy nawet jego osobiści nieprzyjaciele, potępili króla Jana i upraszali Zygmunta, aby starał się o jego uwolnienie, w potrzebie użył nawet siły. Hetman Tarnowski osobiście udał się do Budy, wioząc z sobą darowaną mu przed laty bogatą buławę, chcąc ją zwrócić dawcy, jeżeliby ten robił trudności w wypuszczeniu Łaskiego na wolność. Kasztelan krakowski, Andrzej Tenczyński, powracający właśnie wtedy z Ziemi Świętej, któremu Łaski wyrobił od Turków *salvum conductum* do tej pielgrzymki, także gorąco popierał jego uwolnienie. Zapolya przyciśnięty do muru, musiał Łaskiego uwolnić, chociaż czuł, że odtąd będzie miał w nim śmiertelnego wroga. Dla złagodzenia w części przynajmniej jego słusznej niechęci ofiarował mu tytułem wynagrodzenia 15 tysięcy dukatów i dał w zastaw zamek i miasto Debreczyn, dopókiby mu suma wypłaconą nie była. Łaski chciał mieć pieniądze natychmiast, obawiał się nadto, aby król go nie zawiódł, udał się też zaraz do Debreczyna, kazał zwołać rajców i nakazał im w 24 godzinach wypłacić przynależną mu smumę. Mieszczanie nie bardzo tą surowością zbudowani, zaczęli się zbierać i odgrażać, wtedy wziął z nich siedmiu w zastaw i tych przodem wysłał z Tenczyńskim do Kiezmarku, sam pozostał na miejscu dla ukarania przewódzców buntu.

Czy Hieronim po odzyskaniu wolności był w Polsce, nie wiemy, zdaje się, że nie; pozostał w Kiezmarku, gdzie żona jego z dziećmi stale zamieszkiwała. Obecność jego w Kiezmarku była nawet potrzebniejszą, niż w Polsce; po zajściu z Debreczanami widocznem już było, że Łaski przejednać się nie da, nawzajem też od króla niczego dobrego spodziewać się nie mógł. Potrzeba się było obawiać, że król

zechce darowane mu zamki orężem lub podstępem odebrać, staraniem zatem musiało być Łaskiego zabezpieczyć się od niespodziewanego napadu, poprawić mury, powiększyć załogę. Uskuteczniwszy to, wyjechał natychmiast do Wiednia, tam przyjął służbę austryacką; król Ferdynand na wstępie zaraz mianował go panem Kroacyi i Dalmacyi. Zapolya, który w tym czasie ożenił się z Izabellą, córką Zygmunta i Bony, musiał bardzo obawiać się Łaskiego jako świadomego wszystkich swoich planów, tem więcej, że Ferdynand wysłał go natychmiast w charakterze swego posła do Konstantynopola, bo nalegał bardzo natarczywie na byłego swego szwagra, a teraz teścia, aby Łaskiemu nakazał wrócić do ojczyzny pod zagrożeniem konfiskaty majątku. Król Zygmunt tłómaczy się przed nim przez Kmitę, marszałka koronnego, że bez wiedzy jego i zezwolenia Łaski służbę cesarską przyjął, a tego wolnemu obywatelowi król polski zakazać nie może, zwłaszcza, jeżeli służba jego postronna nie zagraża interesom Rzeczypospolitej.

Łaski byłby niezawodnie zgubił Zapolyę i jego sprawę wobec Turków, gdyby znowu sam Ferdynand nie był sobie zaszkodził. Poseł Ferdynanda zdradził sułtanowi tajny układ, zawarty między jego dawnym a teraźniejszym panem. Soliman był oburzony i już gotował się do ukarania przeniewiercy, gdy wtem przyszła wiadomość o jego śmierci. Trzeba było, żeby teraz Ferdynand nakazał posłowi prosić sułtana o oddanie mu całych Węgier, czego spodziewa się uległy syn od dobrotliwego ojca. Zamiast tego wyprawił się do Węgier, nie zniósłszy się nawet z Izabellą, zabierając po drodze do Budy pomniejsze zamki Królowa wdowa spiesznie do Konstantynopola wyprawiła Martinuzzego, współopiekuna, na kilka miesięcy przed śmiercią męża, urodzonego syna Jana Zygmunta, z doniesieniem o śmierci Jana, prośbą o opiekę nad niemowlęciem, będącem jeszcze u piersi, i skargą na Ferdynanda, następującego z wojskiem na stolicę.

Sułtan tak był rozjątrzony zuchwalstwem Ferdynanda, że natychmiast wysłał posiłki wdowie, a Łaskiego chciał uwięzić, posądzając go, że tajemny traktat, o którym mu mówił, jest jego wymysłem, aby poróżnić go z zaprzyjaźnionym domem, który mu zawsze był wierny, czego najlepszym

dowodem świeże poselstwo królowej wdowy i odwołanie się jej do jego opieki.

Pośrednictwo posła francuskiego, który groził wyjazdem, jeżeliby Łaskiemu najmniejszą krzywdę wyrządził, uratowało go od więzienia. Winien był Łaski to gorące zajęcie się Francyi jego osobą dawniejszym usługom, jakie oddał jej polityce na Wschodzie, za co nawet orderem Śgo Michała wynagrodzonym został, zaszczyt, jaki dotąd żadnego Polaka od obcego mocarstwa nie spotkał, a co obowiązywało Francyę do opieki nad nim, jakby nad własnym poddanym.

Zdaje się, że tyle wstrząśnień i zawodów podkopały żelazne jego dotąd zdrowie. Przyjechał do Krakowa cherlając, i tu życie zakończył w r. 1542. Współcześni posądzają to Wysoką Portę, to króla Jana o zadanie mu powolnie działającej trucizny, nie umiano sobie inaczej wytłómaczyć tak przedwczesnego zgonu.

Wdowa przeżyła go tylko o trzy tygodnie, umarła na zamku w Kiezmarku, nie mając jeszcze lat 40. Oprócz dwóch córek, pozostał z tego małżeństwa 9-letni syn Albrecht Leonard, żywy konterfekt ojca, tak z twarzy, jak z przymiotów umysłowych i moralnych.

Biedna matka umarła z troską o los syna; doświadczyła nieboga wszelkich przykrości, jakie awanturnicze życie męża jej zgotowało. Prawie ciągle żyjąc samotnie na zamku Kiezmarskim, zdala od ojczyzny i krewnych, drżała o zdrowie, życie i wolność męża, a nie miała nawet tej pociechy, aby mu zamknąć oczy. Cóż dziwnego, że pragnęła dla syna spokojniejszej egzystencyi. Syn jednakże poszedł zupełnie śladami ojca, a nawet przeszedłgo o wiele.

* * *

Urodził się Albrecht w r. 1533 na zamku Kiezmarskim, przy śmierci ojca liczył lat dziewięć. Matka oddała go opiece Zygmunta i Ferdynanda austryackiego, jako poddanego obydwóch królów, wychowanie zaś jego powierzyła Maciejowi z Łobodzic Łobockiemu, pokrewnemu Łaskich, najzaufańszemu przyjacielowi zmarłego męża. Za nauczyciela przydany mu był Erazm Krasiński, nowowierca, przyjaciel Fryeza Modrzewskiego.

Już w wyborze wychowawcy matka popełniła błąd wielki. Chciała ona, żeby jej syn szedł utartym torem obowiązków obywatelskich; Łobocki, uczestnik wszystkich awantur Hieronima, musiał w części przynajmniej posiadać usposobienie i nastrój ducha swego przzjaciela, ideałem zatem jego wychować Albrechta takim, jakim był sam i jakim był ojciec wychowańca.

Młodzieniaszek posiadał niepospolite zdolności, z nauk korzystał wielce, ale wcześnie rozbudzone w nim zamiłowanie do rzeczy niezwykłych, nadzwyczajnych, zrobiło z niego wprost coś przeciwnego, niż to, czego sobie matka życzyła. Czas jego młodości nie jest nam wyczerpująco znany, wiemy tylko, że po ukończeniu nauk w domu podróżował wiele, zwiedził Niemcy, Francyę, Włochy, a w r. 1559, mając lat 26, przybył na dwór królowej Izabelli, wdowy po Janie Zapolyi. Izabella chciała młodego, przystojnego, wykształconego kawalera przywiązać do sprawy syna, o siedm lat tylko młodszego od Albrechta. W tym celu zeswatała go z wdową po Jerzym Seredy, najbogatszym panu węgierskim.

Wdowa była Polką, z domu Buczyńska z Olszyn, posagu miała 100,000 dukatów, — więcej królowie wówczas za swojemi córkami nie dawali; — oprócz tego trzymała aż do wydania córki za mąż, Makowicę, Regez i Bystrzycę w Górnych Węgrzech. Córka ta wyszła potem za Janusza, księcia ostrogskiego, kasztelana krakowskiego. (Nagrobek jej w Tarnowie).

Na dworze królowej Izabelli poznał się Łaski z niejakim Jakóbem Heraklidesem Bazylikiem, który się mienił księciem wyspy Samos, margrabią wyspy Paros, słowem, uchodził za despotę tych krain i jako taki od cesarza Karola V został uznany, nadto miał otrzymać od cesarza przywilej do nadawania godności szlacheckiej, komuby się mu podobało, i wieńczenia poetów. Na awanturnikach w XVI wieku nie brakowało, ale ten hardością pomysłów przewyższał swoich współzawodników, a jeżeli w Europie tyle rozgłosu nie uzyskał, co inni, to już wina nie jego, ale miejsca, na którem swoją czynność rozwinął. Kto on był? niewiadomo. Najpodobniejszem doprawdy, że synem Jana Bazylika, właściciela okrętu, na którym prawdziwy Heraklides uciekał z ojczyzny i państwa przed Turkami. Stary Bazylik umarł podczas przeprawy morskiej, bezdzietny wygnaniec zajął się sierotą, dał mu jaknajlepsze wychowanie, umieścił przy sobie, przytem przywiązał się do niego i wyszczególniał przy każdej sposobności. To jest tylko niezaprzeczonym faktem, że za życia Heraklidesa nazywał się Jakóbem Bazylikiem, i nikomu na myśl nie przychodziło uważać go za coś innego. Wtem Heraklides nagle umiera.

Jakób Bazylik występuje na dworze cesarza Karola, u którego Heraklides znalazł schronienie, z oświadczeniem, że jest synem nieboszczyka; ojciec dlatego nie okazywał go publicznie, żeby nie ściągnąć na niego prześladowania Turków. Dworzanie Heraklidesa potwierdzają w całości to zeznanie. Współcześni utrzymują, mianowicie jego antagonista Aleksander, hospodar wołoski, że Jakób, korzystając z ogólnego popłochu dworzan o los własny, miał ich zwołać i oświadczyć im, że jeżeli potwierdzą jego pochodzenie od Heraklidesa, on uznany zostanie jego spadkobiercą, w takim razie wszystkie skarby despoty między nich rozdzieli, zostawiając sobie tylko papiery, w przeciwnym razie skarb cesarski *jure caduco* przywłaszczy sobie cały majątek po zmarłym, a im marnie zginąć przyjdzie. W takich warunkach wszyscy oświadczyli, że zamiary jego wspierać będą, co i uczynili, jak o tem było wyżej.

Dwa te piękne duchy, Albrecht i Jakób, zaprzyjaźnili się teraz. Królowa Zapolska mieszkała w Siedmiogrodzie o ścianę Wołoszczyzny; co się tam działo, wiedziano w sąsiedztwie. Hospodar wołoski Aleksander, lennik polski, naraził się swoim poddanym, Jakób zamyśla zastąpić go własną osobą.

Chodzi tylko o tytuł prawny i środki na zaciąg zbrojny. Temu, który się tak gładko wywiódł z pochodzenia od Heraklidesa, na tytule prawnym zbywać nie mogło. Pisze zatem memoryał świeży, w którym dowodzi, że przodkowie jego władali całą dawną Dacyą, a on, jako ich potomek, ma prawo przynajmniej do tej części, w której uczucie prawa i niezawisłości jeszcze nie wygasło. Łaski dostarczył środków na wyprawę. Zamek Rytwiański i Kezmarski znowu się ożywiły; tutaj ściągały się zaciągi, tutaj były składy broni, tutaj

ćwiczono nowo-zaciężnych, a byli między nimi Polacy, Niemcy, Francuzi, Węgrzy i Wołochy. Szczodrobliwość pana tych zamków hojnie zaopatrywała nietylko ich potrzeby, ale nawet dbała o ich wygody i przyjemności; hulaszczo, wesoło przepędzało rycerstwo czas wyczekiwania sposobności na wyprawę. Przełożonym zamku Rytwiańskiego był Jakób Strzeszkowski z tytułem starosty, Kezmarskiego Jan Jarzyna, konnicą dowodził Zygmunt Rożen herbu Gryf, jednej dzielnicy z Branickimi gryfitami, piechotą Gwagnin, znany kronikarz polski. Cała siła zbrojna wynosiła 1600 ludzi. Do Kezmarku przybyło poselstwo od Wołochów, zapraszając Heraklidesa na tron książęcy; rozumié się, że zaproszenie przyjęto jako już oddawna przygotowane i wyczekiwane. Heraklides natychmiast przyjął tytuł hospodara wołoskiego, Łaskiego mianował najwyższym hetmanem wojsk swoich i darował mu na własność zamek Chocimski z całym powiatem. Dotąd były te nadania gruszkami na wierzbie, jednakowoż spełnić się one miały. Na wiosnę r. 1561 ruszyła wyprawa z Kezmarku, wzdłuż gór Karpackich ku Śniatynowi. Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski, który przed 9 latmi osadził był Aleksandra na tronie wołoskim, utrzymanie go uważał za punkt honoru dla siebie, zaszedł drogę Łaskiemu pod Pomorzanami i rozgromił go zupełnie. Łaski niewiele ludzi stracił, ale całą artyleryę porzucić musiał. Niezrażony tem, w jesieni tegosamego roku przedsięwziął drugą wyprawę; mowa jego do rycerstwa przed wyruszeniem maluje nam doskonale jego umysłowe i moralne przekonania, poczucia, inspiracye; przebija się w niej w całej pełni rycerz średniowieczny, kiedy rycerstwo już prawie pogrzebane, a jeszcze zapomniane nie było.

O ojczyznie, o obowiązkach obywatelskich, niema tam ani wzmianki i być nie mogło. Rycerz średniowieczny nie miał ojczyzny, jego ideałem była ludzkość i prawo człowieka; *mutatis mutandis*, dzisiejszy demokratyczny socyalizm jest jego, jeżeli nie prawem, to naturalnem dzieckiem.

Przemowę Łaskiego, tak, jak ją nam zachował Bakschay, sekretarz jego, podajemy według tłómaczenia Malinowskiego; czytelnik pozna z niej lepiej ducha czasu, niż gdybyśmy to własnemi słowy uczynić się starali: „Nie żądza

panowania, rzekł między innemi, nie chciwość bogactw skłania mnie, waleczni towarzysze broni, do obecnej przewagi, w której własne i wasze życie narażam. Znacie mnie oddawna; nigdy nie nadużyłem władzy odziedziczonej po nieśmiertelnym ojcu moim, nigdy nie czyhałem na cudzą własność, i owszem, cokolwiek mam po przodkach, ile mi ich szczęście zkądinąd dostarczyło, to za wspólne mienie ludzi rycerskich zawsze poczytywałem. Ale sława wojenna, ale żądza unieśmiertelnienia mojego imienia, pozostać mi w ukryciu nie dozwoliły. Tej nieśmiertelności, przykładem starożytnych bohaterów, dobijać się, zwłaszcza niosąc pomoc tym, których niesprawiedliwość prześladuje, za najwyższy cel życia obrałem. Owóż, gdy obecny tu między nami potomek odwiecznych władzców tej ziemi, wezwał pomocy naszej, abyśmy ojcowiznę jego ostrzem szabli wywalczyli, abyśmy za krzywdy nie tylko jemu, ale Bogu i narodowi wołoskiemu, wyrządzone krwawą zemstę wzięli; w imię więc tych świętych, dobrowolnie przyjętych przez nas obowiązków, w imię Boga i ludzkości, uderzmy śmiało, walczmy nieustraszenie, a ten motłoch zalegający te błonia, natychmiast przed męstwem waszem pierzchnie.“

Słowa Łaskiego spełniły się w zupełności. Wojsko Aleksandra obsadziło most nad Prutem, Łaski udał, że chce się przeprawić poniżej mostu. Skoro to ludzie Aleksandra spostrzegli, sprowadzili armaty w to miejsce, które się im za najstosowniejsze do przeprawy zdawało. Na to czekali przeciwnicy; w jednej chwili opanowali most i przeprawiono się na drugą stronę prawie bez rozlewu krwi. Droga do stolicy stała im otwartą; nie zwlekając, ruszono ku niej. W tem zabiegł im drogę Michał Racz, hetman siedmiogrodzki, wysłany na pomoc

Aleksandrowi przez Jana Zygmunta, i oświadcza, że chce się rozmówić z naczelnikami przeciwnej strony. Wysłano Zygmunta Rożna z obozu Łaskiego do wywiedzenia się o celu poselstwa. Ledwie Rożen się zbliżył do parlamentarza, Racz porywa za oszczep, niesiony za nim przez pacholę, chce go utopić w piersiach Polaka. Rożen miał zaledwie tyle czasu, że uskoczył w bok, paląc za nim z rusznicy, poczem gonił go aż pod sam obóz nieprzyjacielski. Przyjaciele jego już go opłakiwali, tymczasem powrócił z pogoni zdrów i bez szwanku.

Wojsko Łaskiego oburzone takim podstępnym czynem, uderzyło z całą zawziętością na Wołochów; opór był niemożebny, po kilkugodzinnej walce trzy tysiące Wołochów zaległo pole bitwy, niewolników zabrano więcej, niż wynosiły siły zbrojne Łaskiego, reszta w nieładzie pierzchła. Zwycięzców przyjęto w Suczawie z uniesieniem.

Tutaj dopełnił Heraklides przyrzeczenia danego Łaskiemu, oddał mu Chocim wraz z całym powiatem. Kiedy już żadne niebezpieczeństwo nowemu hospodarowi nie groziło, Łaski, wyrobiwszy sobie glejt od króla, był bowiem za naruszenie granicy sąsiedzkiej na banicyę skazany, wyjechał do Polski. Korzystał z jego nieobecności Bazylik i odpłacił mu się taksamo, jak niegdyś jego ojcu Zapolya.

Albrecht powierzył Chocimski zamek Piaseckiemu, hospodar przyjeżdża pod Chocim z dość sporym orszakiem i zawiadamia komendanta, że chce zwiedzić miasto i zamek; ten nie przeczuwając zdrady, zezwala, wtedy Heraklides każe zająć wszystkie ważniejsze posterunki; nim się spostrzeżono, co się święci, już Chocim był w rękach Wołoszy.

Na zmniejszenie winy hospodara musimy powiedzieć, że nie uczynił tego przez niewdzięczność wyrachowaną z góry, ale pod naciskiem opinii swojego narodu, obawiającego się, aby tensam los nie spotkał Chocima, jak przedtem Pokucia ze Śniatynem. Albrecht dowiedziawszy się o podstępie, więcej może bolał, że się dał w pole wywieść, niż nad materyalną stratą; o żadnej komplanacyi, jaką mu hospodar ofiarował, słyszeć nie chciał, poprzysiągł, że Chocim siłą odbierze, chociażby mu zginąć przyszło. Udał się też zaraz po odebranej wiadomości o wypadku do Dymitra Wiśniowieckiego, uważanego za awanturnika nawet przez awanturników współczesnych, i tego wciągnął do ligi z sobą przeciw Heraklidesowi.

Na nieporozumienie Łaskiego z hospodarem czyhali już dawno malkontenci wołoscy, a mieli przyczyny ważne do niezadowolenia. Kraj upadał pod brzemieniem podatków, lud został nadto w wierze swej obrażony. Heraklides napojony nowinkami, przyjaciel Malenchtona, którego zięcia na dwór swój powołał, obrażał lekkomyślnie dogmata i obrzędy wschodniej cerkwi, cóż dziwnego, że wszystkich na siebie oburzył. Kiedy w Polsce Łaski z Wiśniowieckim zbierają hufce na odzyskanie Chocima, w Jassach wybucha bunt, Heraklides w obronnej Suczawie szuka schronienia, Stefan Tomża zostaje hospodarem w jego miejsce.

Nie wiedząc nic o zmianach na Wołoszczyznie zaszłych, Wiśniowiecki sam, nie czekając na Łaskiego, posunął się pod Chocim. Tu dowiaduje się o wszystkiem. Bez zniesienia się z przymierzeńcem ofiaruje swoją pomoc zamkniętemu w Suczawie Heraklidesowi; było to jeszcze najrozumniejszem, co do zrobienia było. Despot

skwapliwie pomoc przyjmuje, obowiązuje się wszystkie straty Łaskiemu wynagrodzić, Polsce wierność dochować, Dymitrowi wypłacić natychmiast 25 tysięcy dukatów i po 12 tysięcy rocznie, dopóki pomocy jego potrzebować będzie. Ledwie ten układ zawarty został, przybywa do Dymitra poselstwo od Wołoszy, ofiarując mu hospodarstwo. Wiśniowiecki bez skrupułu układ zrywa, despotę listownie o zmianie zawiadamia, a z wojskiem gotuje się do pochodu naprzód dla objęcia tronu. Chytra Wołosza zatrzymuje go na miejscu, pod pozorem, że pierwej muszą skłonić Tomżę do abdykacyi na rzecz jego, dopiero gdyby ten dobrowolnie ustąpić nie chciał, przemocą go zmuszą; w tym celu proszą, aby im dał 500 zbrojnych swoich do wykonania zamiaru. Wiśniowiecki zgadza się, byłato prawie połowa wszystkich sił jego zbrojnych. Wołosza prowadzi ich wprost na obóz Tomży, ten w porozumieniu z nią będąc, rozłożył tak swoje wojsko, że hufiec polski dopiero wtedy spostrzegł zdradę, gdy ze wszystkich stron był otoczony. Mimo to rzucono się do obrony, bój był krwawy, o zwycięstwie nikt nie myślał, każdemu szło tylko o to, aby jak najdrożej życie sprzedać. Wszyscy Polacy co do nogi zostali wybici. Nim wieść o tem doszła do obozu Wiśniowieckiego, już Wołosza siedziała mu na karku, i tutaj nikt nie był na bój przygotowany, konie były rozsiodłane, broń złożona na stronie, napadnięci znienacka bronili się mężnie, po krótkiej walce wszystko poszło w rozsypkę.

Wódz tego dnia był chory na nogi, dopadł konia i z jednym tylko pachołkiem puścił się w stepy; już zdawało się, że z życiem przynajmniej wyjdzie z tego pogromu, gdy bolem znękany dalej już jechać nie mógł. W polu stała kopica siana, tam go pachołek ukrył. Na drugi dzień przyszedł właściciel stoga i ze zdziwieniem ujrzał wystające buty z siana; sięgnął po nie, a tu pokazuje się i człowiek. Nie było co innego zrobić, jak wyznać przed nim kim jest i za dobrą zapłatę żądać odwiezienia go do granicy Polski. Chłop się zgadza chętnie, zdaje się jednak, że wnet zaczął żałować, że mało zażądał: nie mówiąc nic, odwiózł go do obozu Tomży. Ten wraz z ujętym Piaseckim odesłał go sułtanowi do Konstantynopola.

Sułtan obydwóch skazał na śmierć; zrzucony z wieży w morze zawiesił się za żebro na jednym z haków, któremi wieża była najeżona. Tak żył jeszcze trzy dni i dopiero go Turcy strzałami dobili; szczęśliwszym był Piasecki; ten lecąc głową na dół, także się na haku zaczepił, lecz krew go wkrótce zalała.

Straszny był koniec Wiśniowieckiego, ale i życie jego nie było budujące. Sułtan miał szczególną zawziętość do niego, nie za obecne najście granic państw jego, broń Boże! Przyjął on był przedtem poddaństwo tureckie, zbiegł potem do Moskwy, tam znowu przyjął poddaństwo, na rok przed wyprawą wołoską uzyskał przebaczenie Zygmunta Augusta. I teraźniejsza wyprawa nie była z polecenia królewskiego, owszem, wbrew jego woli i chęci. Czekała go w Polsce banicya i infamia, zginął z rąk tureckich.

Swoją drogą postąpił Tomża ohydnie, i on też za tyle zdrad i przelanej krwi polskiej słuszną poniósł karę. Uciekając przed Turkami, którzy, mimo wydania im Wiśniowieckiego, nie chcieli o nim słyszeć, schronił się do Polski; ujęty w drodze przez Jerzego Jazłowieckiego, za rozkazem królewskim został na zamku Lwowskim uwięziony, w kilka miesięcy później ścięty r. 1564 dnia 7 maja wieczorem.

Co robił przez ten czas Łaski? Szukał pieniędzy na nowe zaciągi; zligował on się wprawdzie z Wiśniowieckim, który jako Rusin, mając stosunki z Kozakami, wnet dość liczny hufiec sobie zwerbował, ale Albrecht nie chciał być na jego łasce, nie pana nad sobą, lecz pomocnika potrzebował. Takim mógł pozostać Dymitr, jeżeli Łaski równą albo większą od niego będzie miał siłę. Posag żony poszedł na wyprawę poprzednią, teraz znowu pieniędzy potrzebował, w Polsce o gotówkę trudno było, stara księżna Ostrogska,

wdowa po Eliaszu, Kościelecka z domu, miała grosz gotowy, ale jak się tu dostać do jej worka. Łaski w środkach nie przebierał, zajęty tylko myślą odzyskania swojego Chocima, gotów był nawet ożenić się ze starszą od siebie o 20 lat kobietą, byle celu dopiąć. Pierwsza żona umarła mu jeszcze przed przegraną pod Pomorzanami, mógł jej więc rękę ofiarować. Stara, skłócona z Bogiem, królem, ludźmi, pałająca zemstą do swego zięcia Andrzeja z Górki, potrzebowała kogoś z imieniem i stanowiskiem, na kimby się oprzeć, przy którego pomocy stawićby mogła czoło oburzeniu publicznemu, jakie na niej ciążyło. A było to oburzenie słuszne. Wiadomo, co wyrabiała z swoją córką Halszką; Dymitr Sanguszko, jej narzeczony, któremu własny stryj synowicę swatał, stracił życie wskutek jej intryg; Górce, za którym się król wstawiał, już po wzięciu ślubu z Halszką nie chciała wydać córki, owszem, zmusiła ją do powtórnego, właściwie trzeciego ślubu z Szymonem Olelkowiczem. Gwałtu trzeba było użyć, aby Górce ostatecznie oddała Halszkę! Biedna ofiara tyranii matki, nigdy nie odznaczała się rozumem i wolą, skończyła na tem, że dostała zupełnego pomięszania zmysłów. O rękę takiej kobiety stara się teraz Łaski; zabrało mu to trochę czasu, baba nie głupia, pierwej worka rozwiązać nie chciała, dopóki Albrecht uroczyście się z nią nie zaręczy. Musiał się zgodzić. Dostawszy się do *nervus rerum*, zajął się bezzwłocznie zaciągami i puścił się ku Wołoszczyznie. W drodze doszła go wiadomość o wyniesieniu Tomży i oblężeniu w Suczawie Heraklidesa. Ten słał posły za posłami do niego z prośbą o ratunek, przyrzekając mu zwrócić wszystko i oprócz tego wypłacić natychmiast 100,000 dukatów. Łaski posłów przyjmował, niczego nie obiecywał, tylko szedł wprost na Chocim i ten istotnie bez wielkiego zachodu odzyskał. Despot przywiedziony do ostateczności, poddaje się tymczasem Tomży; los jego był taki, jak wszystkich, co się dostali w ręce tego okrutnika. Przyprowadzony przed Tomżę, gdy się mu zaraz nisko nie pokłonił, na znak dany przez tegoż rozsiekanym został. Łaski nie utrzymał się przy Chocimie tylko do roku 1564. Sułtan przez umyślnego wysłańca zażądał zwrotu zamku i powiatu, król pod zagrożeniem banicyi rozkazał mu zwrócić Turkom wszystko, co tylko na Wołoszczyznie posiadał. Do tego

rozkazu zastosował się najzupełniej. Co wziął od narzeczonej, znowu się rozlazło; żenić się z nią, Bogiem a prawdą, nie miał ochoty; przemyśliwał, jakby się wycofać z matni, w którą wprawdzie samowolnie wlazł, ale z której wydobyć się teraz jak najmocniej pragnął. Największą przeszkodą do wydobycia się były wypożyczone od niej pieniądze. Łaski był awanturnikiem, ale nie rzezimieszkiem; na zaspokojenie tej sumy umyślił sprzedać Rytwiany. Znalazł się nabywca, Marcin Zborowski, kasztelan krakowski, który pragnął je odzyskać jako ojcowiznę po przodkach. Interes został ułożony; gdy przyszło do wypłaty, pokazało się, że nabywca nie ma tyle gotówki, ile potrzeba było; dostarczyli tejże Tenczyńscy i zabrali Rytwiany, zostawiając Zborowskim prawo wykupna. Nadeszły potem smutne na rodzinę Zborowskich chwile za panowania króla Stefana, o wykupie trudno im było myśleć, Rytwiany zostały dziedzicznym majątkiem Tenczyńskich. Tutaj powinniśmy zakończyć opowiadanie o Łaskim, przestał bowiem już być panem Rytwian, ponieważ jednak niejeden czytelnik mógł się jego losem zainteresować, w krótkości podamy dalsze jego *curriculum vitae*. Wzięte za Rytwiany pieniądze poszły tam, gdzie i inne. Marząc ustawicznie o nowych wyprawach, zaciągów nie rozpuszczał; cóż dziwnego, że koszta ich utrzymania pochłonęły krocie. Nie pozostało mu nic innego, jak ożenić się z Beatą, wprzódy jednak na niej wymógł, że mu cały swój majątek zapisze, i zarząd nad majątkiem córki odda, dopóki za mąż nie pójdzie! Ślubu bowiem Halszki z Górką nie uznawał za ważny, jako podstępem wymuszony. Pan mąż był straszny szaławiła: grosz się go nie trzymał, pieniędzy ustawicznie potrzebował; pani, mimo zapisu, zarządu majątku z rąk nie wypuszczała, tłómacząc mężowi, że zapis jest tylko na wypadek jej śmierci, a za życia ona jedna ma prawo rozporządzać swojem mieniem. W Ostrogu, gdzie służba jej była posłuszną i ją tylko uważano za panią, trudno było rozpoczynać swary z rezolutną kobietą; gotowa była jeszcze taką łaźnię sprawić mężowi, jak księciu Dymitrowi Sanguszce przed 11 laty. Nietylko jej więc żadnego nieukontentowania nie pokazał, ale udawał wielkie ku niej przywiązanie; ujęta tem Beata zezwoliła na podróż z mężem do Kezmarku. Tu się dekoracya zmieniła:

w Kezmarku Łaski był panem, innym też do niej przemawiał językiem, niż w Ostrogu. Kiedy i tutaj babina chciała mu stawić opór w zarządzie majątku, kazał ją zamknąć w turmie i trzymał w więzieniu lat ośm. Trzy sługi towarzyszyły jej dobrowolnie do więzienia; jak się z nią Łaski obchodził, to świadczy relacya z r. 1573 Räuterna, starosty Kezmarskiego, do swojego pana, cesarza Maksymiliana: Na księżnie odzienie jeszcze całe, ale wytarte i zniszczone, za to służebnice jej są prawie zupełnie nagie. Ledwie w roku 1576 otrzymała wolność mimo starań księcia Konstantego, swego szwagra i posła cesarskiego Dudycza. Łaski, usunąwszy żonę od zarządu jej majątku, gospodarował w nim jakby we własnym. Wyprawę pod Oczaków r. 1568 na czele tysiąca własnych ludzi, głównie z jej szkatuły urządził. Wyprawa ta do najświetniejszych jego czynów wojennych należy: nietylko grasujących po Podolu Tatarów rozgromił, ale gnał ich aż pod Oczaków i tam zabrał im ogromne łupy, tak, że w obozie jego baran kosztował grosz, a wół złoty polski. Beatą długi czas nikt się nie interesował, tak się naraziła wszystkim, zdaje się, że po raz pierwszy upomniał się o nią szwagier Konstanty około r. 1570, albo przynajmniej jeżeli nie o wdowę, to o jej majątek, w tym bowiem roku najeżdża Łaski Tarnów, wówczas własność księcia Konstantego, ożenionego z córką hetmana Tarnowskiego. Według prawa polskiego, majątek rodzinny mógł spłacić siostrze brat rodzony albo stryjeczny; otóż Stanisław Tarnowski, kasztelan wówczas czchowski, a później sandomirski, w myśl prawa chciał postąpić i Tarnów na siebie odebrać. Łaski go posiłkował, oburzony na Konstantego za orędownictwo w sprawie Beaty. Mógł to uczynić tem łacniej, iż sam odziedziczone po matce Rytwiany na żądanie odstąpił Marcinowi Zborowskiemu. Od tego czasu często ponawiają się starania Ostrogskiego o wypuszczenie z więzienia Beaty. Cesarz, do którego się w tym celu udawano, nie chciał drażnić Albrechta, uważanego za głowę stronnictwa austryackiego w Polsce, był jednak czas, gdzie Maksymiliana zdawał się bardziej obchodzić los uwięzionej, to jest, kiedy Łaski całym swym wpływem i znaczeniem popierał kandydaturę Henryka na króla wbrew przyrzeczeniu danemu Austryi. Ucieczka Henryka z Polski znowu

nakazywała oszczędzać Łaskiego, tyle tylko wymógł, że ją w r. 1576 wypuścił z Kezmarku i oddał gubernatorowi północnych Węgier, Rueberowi, pod straż, gdzie jeszcze dwa lata przebyła.

Z większem powodzeniem starano się w Polsce o zwrot majątku księżniczce Halszce. Na sejmie koronacyjnym Henryka wzywał stany Szafraniec, kasztelan biecki, aby nie pozwalały krzywdzić wdowy po wojewodzie poznańskim panu z Górki, której ogromne włości na Wołyniu i w księstwie Ostrogskim gwałtem zabrane zostały przez pewne osoby, na co Łaski hardo odpowiedział: że dzierży większą część tych posiadłości na prawie mocnem i pewnem, i nikt mu prawnego posiadania zaprzeczyć nie może. Ostatecznie wyrokiem królewskim został skazany na wydanie majątku Halszki, przy nim pozostać miało tylko wiano Beaty. Nadto puścił mu Konstanty w dożywocie Rowne i Połonne w zamian za znaczną gotówkę, wypłaconą wdowie po Górce. Króla Henryka był ulubieńcem, jeździł po niego w poselstwie do Francyi i za jego protekcyą ożenił się po raz trzeci z Sabiną Sevé jeszcze za życia Beaty. Nowa żona przyjechała z matką do Polski, zdawało się, że teraz dla Łaskiego niema ratunku, spodziewano się, że całe duchowieństwo przeciwko niemu powstanie. Ale i tu wykręcił się sianem, że tak powiemy. Dotąd uchodził on za zwolennika reformy kościelnej, przynajmniej w rzeczach wiary był bardzo chłodny, teraz występuje jako gorliwy zwolennik Kościoła, domaga się natarczywie zniesienia paragrafu, dotyczącego zachowania pokoju z dysydentami. Ujęci tą gorliwością biskupi o bigamii milczeli.

W bezkrólewiu po Henryku stale się już trzymał stronnictwa austryackiego. Stefana Batorego długo za pana uznać nie chciał, prawie cztery lata przesiedział w Niemczech na dworze cesarskim. Z początku dogadzano mu bardzo, zaopatrywano w pieniądze hojnie, spodziewając się w razie danym użyć go za narzędzie to urzeczywistnienia swoich pretensyi do Polski. Czas jednak upływał, cesarz innemi sprawami zajęty, o tronie polskim myśleć przestał, a tu Łaski, worek wiecznie dziurawy, co chwila domagał się subsydyów, co chwila z nowemi pretensyami do skarbu cesarskiego występował, który także w kwitnącym stanie nie był. Musiało się

to Niemcom wkońcu sprzykrzyć, jakto już okazuje przydomek mu dany „pożercy złota,“ coraz go chłodniej traktowano, do tego król Stefan dłużej mu pobłażać nie myślał. Doznał już w części ciężkiej prawicy króla przez odebranie mu starostwa Lanckorońskiego, wprawdzie za wyrokiem sądowym, ale za wiedzą i naciskiem Stefana. Starostwo to otrzymał od króla Augusta pod warunkiem, że spłaci dług ciążący na niem wdowie po swym poprzedniku Wolskim. Łaski, wówczas wojewoda sieradzki, długu nie spłacił, starostwo zajął i spokojnie go dzierżył, mimo kilkokrotnych wyroków na korzyść wdowy; teraz odnowiono proces, poparto go ze strony króla, czego nawet interes polityczny wymagał; bliskość Lanckorony granicy austryackiej ułatwiała Łaskiemu możność wydania jej cesarzowi, zawsze jeszcze tytułującemu się wybranym królem polskim, przez coby bezpieczeństwo i całość Rzeczypospolitej narażoną została. Wdowa proces wygrała, staroście krakowskiemu polecono egzekucyę. Po kilku szturmach Zacharyasz Gorecki, dowódzca załogi, poddał miasto królowi, zwłaszcza, że mu wojewoda obiecanych posiłków nie przysłał. Mógł się Łaski obawiać, że król targnie się i na majątek jego dziedziczny, a uczynić to mógł, Albrecht przesiadywał bowiem u cesarza nie jako człowiek prywatny, ale jako poseł mniejszości, która cesarza na tron polski powołała. Teraz, kiedy już wszyscy Stefana uznali, Łaski w oczach króla i Rzeczypospolitej był tylko prostym buntownikiem i wichrzycielem.

Nie chcąc dopuścić rzeczy do ostateczności, nagle dwór cesarski opuścił i pokłonił się królowi bawiącemu pod Połockiem. Król winę darował, Lanckoronę mu nawet wrócił, do zaufania jednak swego nie przypuszczał. Nie w smak było jego wygórowanej ambicyi zajmować drugorzędne miejsce, króla podawnemu nienawidził, czekał tylko na sposobność, aby się zemścić za upokorzenie, bo każdy z magnatów nazywał upokorzeniem, jeżeli królem nie trząsł według woli. Po ścięciu Samuela Zborowskiego, cała Zborowszczyzna obróciła się przeciw królowi; natychmiast zbliżył się do nich Łaski, i w spisku przeciw królowi palce swe umaczał. Śmierć królewska uwolniła go od odpowiedzialności. W czasie

bezkrólewia stanął po stronie Zygmunta III, już i do Habsburgów czuł niechęć; nie dawali tyle pieniędzy, ile żądał!

Zygmuntowi służył stale i wiernie. Towarzyszył mu zaraz po śmierci w czasie pierwszej wyprawy do Szwecyi, tam sprytem i energią oddał królowi wielką przysługę. Ruszył Zygmunt do Upsali na koronacyę z małą garstką Polaków. Karol Sudermański, już widocznie do tronu idący, przybył tam w 2000 Szwedów; nie śmiał on jeszcze wtedy jawnie o tron się ubiegać, ale zamyślał takie królowi podyktować warunki, które jeśliby przyjął, całą władzę oddawał Karolowi; jeśliby je odrzucił, narażał się na wielką niepopularność Szwedów. Uprzedzony Łaski przez Tarnowskiego o zamiarach Karola, kazał bramę zamku zaraz po przejściu jej przez Karola zatarasować. Naraz ujrzał się tenże od swego orszaku odosobniony. O warunkach twardych mowy nie było, dla honoru domu zrobił tylko niewiele znaczące zastrzeżenia. Prawda, że tem Karola jeszcze bardziej rozjątrzono, na przyszłość stawał się jeszcze szkodliwszym, to już jednak nie jest winą Łaskiego. Radził on królowi postąpić z nim, jak z nieprzyjacielem, bo dopóki będzie wolny, nigdy spokoju w Szwecyi nie będzie. Zygmunt o żadnych surowszych środkach słyszeć nie chciał, więcej ufając stryjowi, niż otaczającym go Polakom.

Wkrótce pokazała się słuszność rady Łaskiego. Ledwie król Szwecyę opuścił, już Karol, który miał tylko sprawować rządy namiestnicze, postępował tak absolutnie, jak gdyby żadnego zwierzchnika nad sobą nie miał. Zygmunt znowu wysłał Łaskiego w poselstwie do stryja z przypomnieniem mu obowiązków. Poseł nie szczędził namiestnikowi wyrzutów i słów ostrych, wszystko było nadaremnie; rzeczy tak stały, że tylko szybkie przybycie króla mogło Karola zatrzymać w granicach umiarkowania i posłuszeństwa. Doniósł Łaski o tem królowi, nalegając, aby podróży nie odkładał. Tym razem uczynił Zygmunt zadosyć wezwaniu; stronnicy jego podnieśli głowę, Smalandya i Ostrogocya poddały się królowi, Łaski ubiegał Sztokholm i zamek, arcybiskup i najznakomitsi panowie szwedcy połączyli się z nim. Miał już wojewoda wstępnym bojem uderzyć na Karola, kiedy się do-

wiedział o klęsce wojsk królewskich w Finlandyi. O dalszych jego czynach nie wiemy. Zdaje się, że po bitwie pod Stegeborgiem, gdzie król miał w ręku Karola i mógł raz na zawsze pozbyć się nieprzyjaciela, a jednak tego nie uczynił; zniechęcony takiem mazgajstwem wrócił do Polski i wkrótce umarł. Trzecia jego żona żyła jeszcze w r. 1613.

III.

Andrzej Tenczyński wda krakowski zmarły w r. 1581, pierwszy z tego rodu posiadacz Rytwian, żadnych zmian, żadnych ulepszeń w świeżo nabytym majątku nie robił, nie uważał się za właściciela, lecz za depozytaryusza czasowego, dopóki mu Zborowscy sumy nań wypożyczonej nie zwrócą. Synowie jego Jan wda krakowski, Gabryel wda lubelski i Andrzej kasztelan bełzki, są już zupełnymi, faktycznymi i prawnymi dziedzicami Rytwian. Działem z r. 1601 dostały się Rytwiany Andrzejowi, ożenionemu z Katarzyną Leszczyńską, herbu Wieniawa. On wraz z żoną wystawili kościół w Staszowie, do dziś istniejący, do budowy przyczynił się znacznie brat Gabryel, ożeniony po raz pierwszy z Radziwiłłówną, a powtórnie z księżniczką Zbaraską dziedziczką Międzyrzyca. Andrzej umarł bezpotomnie r. 1613, Gabryel r. 1617, zostawił jednę tylko córkę Zofię, której opieka przypadła ostatniemu żyjącemu bratu Janowi. W pamiętnikach Albrechta Radziwiłła znajdujemy ustęp nie bardzo pochlebny dla tej opieki. Wojewodzianka lubelska była jedną z najposażniejszych jedynaczek w Polsce, wielu magnatów, o jej rękę się ubiegało. Wojewoda krakowski stryj i opiekun panny, nie chciał tak pięknego majątku z rąk wypuszczać, konkurentów obcych oddalał pod różnemi pozorami, zamyślając ożenić z nią jednego z swoich synów, a miał ich trzech. Otrzymawszy dyspensę z Rzymu, kolejno ze wszystkimi trzema ją zaręczał, naprzód z najstarszym, ten zginął w pojedynku w Lowanium, potem ze średnim, ten ubity został przez chłopa włoskiego, w którego winnicy chciał się ochłodzić świeżemi gronami, bez opowiedzenia się właścicielowi, nakoniec z trzecim, który umarł w obozie pod Kamieńcem 1634. Radziwiłł śmierć przedwczesną

synów przypisuje karze bożej za chciwość ojca. Ta Zofia wyszła nakoniec za Daniłowicza podskarbiego koronnego w r. 1638, a owdowiała w r. 1650. Niesiecki o niej pisze, że była to pani świątobliwa, w Lublinie wraz z mężem fundowała Karmelitów bosych; szczególnie świątobliwość jej uwydatniła się w czasie wdowieństwa. O zapamiętanie tych dat prosimy czytelnika, będą nam one potrzebne w odparciu świadectwa pismiennego które ją czyni żoną Stanisława Łukasza Opalińskiego starosty nowomiejskiego, o którym będzie niżej. Jan, *ultimus virorum de Tenczyn*, jak się sam zwykle podpisywał, był założycielem klasztoru Kamedułów w Rytwianach. Niesiecki przypisuje założenie eremu Andrzejowi i Gabryelowi, w czem zdaje się mylić: akt fundacyjny, oblatowany w grodzie nowomiejskim nosi datę z r. 1621 i wystawiony jest przez Jana wdę krakowskiego, w kilka lat po śmierci obydwóch młodszych braci. Nie można także przypuścić, żeby pomienieni bracia budowę rozpoczęli, a Jan ją dokończył i wyposażył, w akcie bowiem erekcyjnym wyraźnie stoi: OO. Kameduli mogą sobie zbudować klasztór we wsi Sieragi lub gdziekolwiekby im się podobało. Gdyby przed rokiem 1621 zmarli bracia budowę byli rozpoczęli, jużby Kamedułom nie zostawiano wolności wybudowania eremu gdzieby chcieli, ale rozpoczęta budowa byłaby ich zmusiła do wykończenia jej w tem miejscu, w którem rozpoczętą została. Zakon Kamedułów reguły św. Romualda należy jak wiadomo do najostrzejszych. Po upadku reformacyi w Polsce, naturalnem następstwem była reakcya, to jest hołdowanie zasadom wprost przeciwnym jak te, które ona wyznawała. Reguła św. Romualda musiała jako antiteza pokonanego prądu mieć wiele uroku w oczach zwycięzców, to też już w r. 1604 widzimy pierwszych Kamedułów na Bielanach pod Krakowem. Sprowadził ich z Włoch Mikołaj Wolski marszałek koronny. W dwadzieścia lat niespełna już są w Rytwianach. Wojewoda wyposażył ich hojnie, nadał im wsie Sieragi, Zrębin i Wolicę, zapisał 6,000 złp. na wsi Hułobosy, 6,000 na Maślachowie, 9,000 na połowie wsi Szczeka, 4,000 na kopalni galmanu w hrabstwie Tenczyńskiem. Oprócz tego sprawił do kościoła puszkę szacowaną na 400,000 złp., w której były cenne bardzo karbunkuły i smaragdy, które ojciec fundatora otrzymał był w darze

od króla Henryka, w chwili jak się zdaje, gdy po raz ostatni żegnał zbiega na Szląsku. Wojewoda zostawił tylko jedną córkę Izabellę, wydaną za Łukasza z Bnina Opalińskiego, marszałka nadwornego, i z nią cały majątek Tenczyńskich przeszedł w dom Opalińskich. Córka fundatora była także dobrodziejką zakonu, darowała mu wieś Kamieniec, 1000 złp. i dwie części lasu rytwiańskiego. Wszystkie te donacye i fundusze uczynione były z zastrzeżeniem powrotu ich do familii, gdyby klasztor z jakiegokolwiek powodu miał być zniesiony. Zabór i sekularyzacya dóbr kościelnych w Niemczech, nauczyły fundatorów ostrożności.

Z Janem zmarłym w r. 1637 wymarł przemożny dom Tenczyńskich; województwa krakowskie i lubelskie, kasztelanię wojnicką dzierżyli prawie dziedzicznie przez kilka wieków.

Marszałek nadworny Łukasz Opaliński, mąż Izabelli Tenczyńskiej, to jedna z najczystszych postaci XVII wieku; cały jego żywot polityczny był bez skazy i zmazy, on i Stefan Czarnecki, pierwszy w radzie, drugi w boju byli głównemi filarami walącego się budynku. Tak dodatnych osobistości, jak marszałek, mało liczymy w dziejach naszych. Był on gorliwym obrońcą władzy królewskiej, nieprzyjacielem wszelkiego warchołstwa, służył Rzeczypospolitej wiernie, bez oglądania się na osobisty pożytek. Znakomity na swój czas uczony, miał w Rytwianach sporą bibliotekę, złożoną z dzieł w języku łacińskim, greckim i hebrajskim, któremi językami nietylko mówił ale i pisał. Jeszcze za Władysława rozpoczął zawód publiczny, brał osobisty udział w wojnach szwedzkich, król w nagrodę zasług dał mu podkomorstwo poznańskie. Jan Kazimierz nadał mu nadworną laskę marszałkowską po Jerzym Lubomirskim, który otrzymał wielką w r. 1649. Na nowym urzędzie był z królem pod Zborowem, dokąd przyprowadził 200 piechoty, 160 jazdy własnym kosztem uzbrojonych. W roku 1652 sądził sprawę Hieronima Radziejowskiego podkanclerzego koronnego i skazał go na banicyę, infamię i utratę urzędów. Wyrok ten narobił wiele hałasu, marszałka okrzyknięto zausznikiem królewskim, wrogiem wolności, surowy ale słuszny wyrok upadkiem ojczyzny.

Miecznik sieradzki Zamoyski, herbu Poraj, wyraził się nawet, „wolę gdzieindziej na syłce zostawać niżeli w królestwie wolnem taką niewolę cierpieć;“ „za jeden wybryk jak można karać ministra banicyą i infamią,“ wołali wichrzyciele. Zdawałoby się, że niesłusznie prześladują cnotliwego obywatela, a przynajmniej zasłużonego męża, który wprawdzie pobłądził i prawo obraził, ale któremu należały się pewne względy za oddane wielkie usługi ojczyznie. Tymczasem był to intrygant, tchórz i przechera. On pierwszy zemknął z pod Piławic, czem dał sygnał do ogólnego popłochu. Klęska piławicka, to najczarniejsza plama na honorze wojskowym Polski. Trzydzieści sześć tysięcy rycerstwa, przeto 100,000 czeladzi i sług obozowych, uciekło sromotnie na samą wieść o zbliżeniu się tałałajstwa kozackiego. Radziejowski umknął, aby uwieźć w całości bogate suknie i sprzęty, które z sobą do obozu na kilku wozach zabrał, tem nawet ucieczkę swoją usprawiedliwiał: „nie mogłem, powiadał, połowę mojej fortuny na hazard wojenny narażać.“ Taksamo tłómaczyli się inni. W dobrze uorganizowanem państwie ten jeden fakt wystarczał, aby go śmiercią ukarać, imię jego wystawić na hańbę i wzgardę potomności. Uszło mu to bezkarnie. Wczasie wyprawy beresteckiej, w celu poróżnienia królowej z królem, pisywał listy do Maryi Ludwiki, oskarżając Jan Kaźmierza o płochość i zalotność. Po bitwie, gdy zwycięzstwo nie było wyzyskane jak należało, winą niesforności szlachty, on jej podszepnął, że król umyślnie Chmielnickiego wypuścił, wziąwszy za to od niego 300,000 dukatów, a Chmielnickiemn donosił: ja powstrzymałem króla w pogoni, nie chcąc ostatniej zguby kozaczyzny. I to uszło mu jeszcze bezkarnie. Co więcej: miał tak wytarte czoło, że po śmierci Mikołaja Potockiego śmiał wystąpić jako współzawodnik do buławy. Książę Albrecht Radziwiłł sam nie bardzo delikatny i wyrozumiały gdy szło o wakujące posady, nie może się nadziwić w swoich pamiętnikach tej bezczelności podkanclerzego.

Miało się przecie spełnić na nim przysłowie: dotąd dzban wodę nosi, aż się ucho urwie. Poślubił on z chciwości wdowę po Kazanowskim, Słuszkownę z domu; ta oburzona podłością męża nie chciała z nim mieszkać, zabrała swoje rzeczy z pałacu pierwszego męża i przeniosła się na mieszkanie do kla-

sztoru. Radziejowski 4go stycznia r. 1652 napadł na dom Kazanowskich i opanował go; działo się to o świcie. Rano tego samego dnia podkanclerzyna pałac odebrała, po południu Radziejowski zebrawszy czeredę zbrojnych, uderzył na mieszkanie żony. Stoczono formalną bitwę w ulicach Warszawy, byli zabici i ranni, zwycięstwo zostało przy żonie. Prawo wyraźnie mówiło: ktokolwiek popełni gwałt z bronią w ręku, w trzech milowym obwodzie od rezydencyi króla, ma być śmiercią karany, o co forum sąd marszałkowski. Marszałek nie wykonał nawet litery prawa; była bowiem okoliczność obciążająca, królowa co chwila spodziewała się połogu, a jeżeli kto na względy nie zasługiwał, to podkanclerzy nietylko dla swej osobistości lichej, ale z uwagi na urząd jego. Któż miał szanować prawo w Polsce, jeżeli ci, co nad nim z obowiązku czuwać byli obowiązani, pierwsi je łamali.

Wiadomem jest z historyi, że Radziejowski zbiegłszy z kraju, w Wiedniu będąc namawiał Austryę do najścia na Polskę, obiecując jej poddać Kraków, byle mu kilka tysięcy ludzi do rozporządzenia oddano. Nie znalazłszy tu posłuchu, udał się następnie do Szwecyi i nakłonił Karola Gustawa do wypowiedzenia wojny Janowi Kaźmierzowi. W Wielkopolsce Krzysztof Opaliński wda poznański, rodzony brat Łukasza, namową Radziejowskiego porwany, pierwszy przerzucił się na stronę Szwedów, pociągając za sobą zięcia swego Piotra Opalińskiego wdę łęczyckiego, jenerała wielkopolskiego i Jędrzeja Grudzińskiego wdę kaliskiego. Krzysztof to znany autor Satyr, po którym gdyby innych świadectw nie było tylko jego pisma, uchodziłby zapewnie u potomności za wzór cnotliwego i patryotycznego obywatela, jednak w gruncie niewiele był lepszy od Radziejowskiego. „Wszystko nam jedno kto panuje w Rzeczypospolitej, byle wolność szlachecka nie cierpiała,“ takie hasło rzucił reformator szlachcie, nakłaniając ją na stronę Szwedów, i on nazywał Jana Kaźmierza nieznośnym tyranem, bo pieczęć mniejszą po infamisie dał Stefanowi Korycińskiemu nie jemu. Tem większe uznanie należy się Łukaszowi, że nie oglądając się na najbliższych krewnych, wytrwale stał przy Janie Kaźmierzu, towarzyszył królowi na wygnanie do Szląska, narażał cały majątek na rabunek Szwedów i ich stronników. Wczasie najścia Rakoczego

wytrzymał nawet w zameczku swoim w Rytwianach oblężenie od Siedmiogrodzian, i tak długo się bronił, dopóki ogólny przebieg wojny nie zmusił Rakoczego od oblężenia odstąpić i w układach z Rzecząpospolitą szukać ocalenia dla siebie. Zameczek ucierpiał wiele, i od tego czasu przestał być rezydencyą rytwiańskich panów. Jeszcze w ostatnim roku swojego życia r. 1662 uzbroił swoim kosztem 1200 ludzi, na obronę powagi królewskiej zagrożonej związkiem wojskowym. Nie widzimy nawet żeby za tyle rzeczywistych usług oddanych królowi i ojczyznie, brał jednę królewszczyznę po drugiej, owszem, wyposażenie jego ze strony Rzeczypospolitej było bardzo skromne; zacny ten człowiek sam doradzał królowi oddawać starostwa wakujące tym, którzy pominięci, szkodzić, by mogli. Zaprawdę, na ówczesne czasy rzadki wyjątek.

Kameduli rytwiańscy podobno sami jedni mają przyczynę do narzekania na marszałka. Zażądał on od nich zwrotu klejnotów po królu Henryku, na zasadzie że są one pamiątką familijną i tej pojedynczemu członkowi familii pozbawiać się nie wolno. Obiecywał wprawdzie wynagrodzenie, skończyło się jednak na obietnicy. Syn jego starszy Jan, podstoli koronny, ożeniony z Zebrzydowską, umarł bezpotomnie; o jego życiu nic prawie nie wiemy, jak tylko że 1200 ludzi które ojciec jego zaciągnął, Rzeczypospolitej darował. Młodszy Stanisław Łukasz starosta nowomiejski, podobnie jak ojciec nie najlepiej jest zapisany w rocznikach kamedulskich. Wybierając się z królem Janem na ratunek Wiednia, zabrał znowu z klasztoru 63 grzywien i 8 łutów srebra, a nawet trumny swego dziada i stryjów po kądzieli z ozdób srebrnych poobdzierać kazał. Musi być nieco prawdy w tych zapiskach kamedulskich, nie powiemy atoli aby księża częstokroć strat jakie ponieśli, nie przesadzali. Zdaje się nam, że i tu było taksamo, marszałek był człowiekiem bardzo religijnym, co miesiąc się spowiadał, a starosta przeszło 40 tysięcy złp. zapisał na kościoły. Gdyby jednak tak być miało, jak kroniki klasztorne piszą, to musimy przyznać, że starosta nie czynił tego z gwałtownej potrzeby, należał on do Krezusów współczesnych. Niesiecki powiada o nim, że zostawił po sobie ogromne dostatki, a ksiądz Tortowski w mowie pogrzebowej wylicza jego naczynia złote i srebrne, które ciężkością

materyału i artystycznem wykończeniem budziły ogólne zdziwienie. „Były tam, powiada panegirysta, kubki złote, jakich zaledwie używali bogowie Olimpu, spijając nektar. Na jednych orzeł dźwigał Ganimeda, na drugich Pluto z Prozerpiną do podziemnych jechali pałaców. Były tam drzewa ze smaragdów, giganci ze złota, Jowisz trzymał w ręku piorun z ogromnego karbunkułu, grad z brylantów spadał na grupę osób wyrzeźbionych na podstawie. Słowem, co poeci w snach swoich wymarzyć mogli, wszystko się tam znajdowało.“ Może i przesadzał ksiądz Tartowski, taki to już był obyczaj współczesny, w jednym przecie ustępie tejże mowy powiada: „mógł iść sam na tę wyprawę, rozumié się wiedeńską, sam bowiem starczył za armię, wolał jednak 200 ludzi uzbroić swoim kosztem.“ Widzimy, że nie pobożna chęć jedynie wybawienia chrześcijaństwa od jarzma tureckiego kierowała nim w ograbieniu klasztoru, obdarciu trumien przodków. Środków własnych na uzbrojenie dwustu ludzi miał aż nadto.

Dziwnato postać ten Stanisław Łukasz Opaliński! Przeszłego roku przejeżdżając przypadkowo przez Rytwiany, zwiedziłem klasztor Kamedulski. Uderzylo mię bardzo, gdym czytał na nagrobku jego, że zmarły licząc lat 57, nie był niczem więcej, jak starostą nowomiejskim. Takie dostojeństwa miewali Opalińscy w kolebce, a nie przy zgonie, i to stosunkowo po dość długiem życiu. Nad trumną wisiał portret nieboszczyka. Twarz okazała ale obrzękła, jak u pijaków, a pijakiem podobno nie był, Tortowski chwali go ze wstrzemięźliwego życia; uczty u niego, powiada, były wystawne, nie przechodziły jednak granic umiarkowania. Dość, że starosta nowomiejski zaintrygował mnie niepomiernie. Powróciwszy do Krakowa, zacząłem przeglądać dzieła, mogące mi dać jakie-takie wskazówki o Stanisławie Łukaszu. Zdziwiło mnie, że Niesiecki tak zwykle wielomowny o rodzinach możnych, mianowicie, jeżeli w rodzie bywali biskupi, a panowie z Bnina liczyli ich na tuziny, o staroście nowomiejskim kilkoma słowy wzmiankuje, o żonie nie wspomina, chociaż w klasztorze pokazywano mi konterfekt zakonnicy która miała być żoną starosty.

Zacząłem się dowiadywać, śledzić.

Natrafiłem na ślady aż trzech żon. Pierwszą miała być

Zofia Tenczyńska, wojewodzianka lubelska, stryjeczna siostra żony jego ojca, wdowa po Mikołaju Danilewiczu, podskarbim koronnym, zmarłym w roku 1650.

Według źródła, z którego tę wiadomość zaczerpnąłem [1]), umarła w Sichowie r. 1700, ciało jej odwieziono do Wielkopolski. Otóż to małżeństwo jest zupełnie niemożliwe. Zofia wyszła za Daniłowicza w r. 1638, a była już panną niemłodą, żyła z nim lat 12. W roku urodzenia starosty musiała już mieć około 40 lat; przypuściwszy, że ożenił się z nią w dwudziestym roku życia swego, nadobna połowica liczyłaby już około sześćdziesiątki. Potworność takiego związku jest widoczna, a świętobliwa niewiasta, bo tak ją nazywa Niesiecki, nie byłaby się narażała na pośmiewisko całej Polski. Pocoby wkońcu ciało jej odwożono do Wielkopolski? Jako Tenczyńska miała groby familijne w Tenczynie, jako Daniłowiczowa w Olesku, jako Opalińska w Rytwianach. Widocznie pomięszano ją z Opalińską z Wielkopolski, o której będzie niżej.

Wykluczając możliwość tego małżeństwa, pozostają nam jeszcze dwie żony. Niesiecki, który starostę mógł znać osobiście, a przynajmniej od ludzi staroście współczesnych, mógł się o jego stosunkach poinformować, nie wspomina, aby był żonatym. Miał do tego powody jako ksiądz i jako szlachcic.

Jedna zdaje się nie była szlachcianka. Mam pod ręką wyciąg z akt kościelnych Polańca, w nich pod r. 1684 wyraźnie stoi: „Jaśnie Wielmożny Stanisław Łukasz Opaliński, starosta nowomiejski, pojął za żonę urodzoną Maryę Działonkę. Ślub dawał ksiądz biskup Małachowski, w obecności kanonika sandomirskiego a proboszcza połomieckiego, Moalickiego. Akt odbył się w Szczece w dworze pana Kosowskiego. Sama nazwa Działo, Działoń, Działonka, nie wskazuje pochodzenia szlacheckiego; przyczepiony do jej nazwiska epitet „*generosa*“ niczego nie dowodzi, jestto objaw i dowód grzeczności dla wielkiego pana, który się z nią żenić raczył. Była wprawdzie ówcześnie świeżo nobilitowana familia Dziulich r. 1676, spokrewniona z Kosowskimi, w których dworku ślub się odbywał, w takim razie nazywałaby się Dziulanka i pan starosta nie potrzebowałby brać z nią ślubu po za ko-

[1]) Zapiski w księgach kościelnych koniomłockich.

ściołem, niejako ukradkiem i potajemnie, w obecności jednego tylko świadka księdza Moalickiego, w dworcu swego pod starościego czy dzierżawcy, Szczeka bowiem z dawien dawna należała do klucza Rytwiańskiego. Że ksiądz biskup sam błogosławił, nie może służyć za dowód szlacheckiego pochodzenia Działonki, starosta dłuższy czas musiał żyć z nią w konkubinacie, biskup odbywając wizytacyę dekanalną, zapewnie umyślnie wstąpił do Szczeki czy do Rytwian, aby raz położyć koniec skandalowi w swej dyecezyi. Starosta zmiękł na przedstawienie księcia Kościoła, i ten nie chcąc sprawy puszczać na zwłokę, dał ślub natychmiast.

Ale Dziulanka czy Działonka była zawsze jego żoną prawowitą wobec Boga, Kościoła i praw krajowych.

Tradycye miejscowe wspominają jeszcze o niejakiej Fortuniance; chłopi tego nazwiska znajdują się do dziś dnia w Szczece, tej jednak w komput legalnych żon nie kładziemy.

Drugą żoną starosty była stryjeczna siostra jego, a rodzona siostra Jana Opalińskiego, ojca królowej Stanisławowej Leszczyńskiej.

Przyczynę milczenia Niesieckiego teraz łatwo pojąć: milczał o pierwszej żonie starosty przez wzgląd na możnych koligatów Opalińskiego, milczał o drugiej, bo opinia ówczesna potępiała mocno związki małżeńskie między bliskimi krewnymi, uważając je za kazirodztwo.

Czy pozostały dzieci z Działonki, niema na to dzisiaj pismiennych dowodów i prawdopodobnie nie będzie już ich nigdy; interesowani, aby jej dzieci nie dziedziczyły, akta odnośne poniszczyć musieli. Tradycya powiada, że były, a są jeszcze i inne wskazówki.

Znałem Opalińskiego w Wołoczyskach, który mi o pochodzeniu swojem z Rytwian opowiadał. Przed kilkoma laty ktoś pochodzący od tej Działonki, chciał wznowić pretensye do spadku o dobra Staszowskie i procesem groził rzeczywistym posiadaczom, którzy ze swojej strony nietylko prawnymi, ale dobrej wiary byli ich właścicielami, i na takie pogróżki uśmiechać się mogli. Zawsze jak się zdaje, wielka krzywda dzieciom starosty z Działonki wyrządzoną została przez współczesnych im możnych krewniaków.

Wystawić sobie łatwo możemy, jakie musiał wywołać

ogólne zgorszenie wybryk starosty w kołach możnowładców. Dosyć przypomnieć los okropny Gertrudy Komorowskiej, starościanki bełzkiej, która przecież była czemś innem, niż Działonka. Komorowscy byli równi urodzeniem Potockim, różnica była tylko w majątku. A tu siostrzenica starosty była za Leszczyńskim królem, rodzona jego siostra za Stanisławem Heraklіuszem Lubomirskim, marszałkiem wielkim koronnym, córka jej za Adamem Sieniawskim, kasztelanem krakowskim, hetmanem wielkim, człowiekiem pysznym, gwałtownym, w środkach nie przebierającym, do tego chciwym bogactw, mimo że był najbogatszym panem w Polsce. Jeżeli kogo, to Sieniawskiego najbardziej posądzać można o gwałt popełniony na dzieciach Stanisława Łukasza, on dzieci jego obdarł, powyganiał z ojcowizny, dokumenta tyczące ich urodzenia poniszczył. A czasy dziwnie sprzyjały temu gwałtowi. Starosta nowomiejski umarł w roku 1704, kiedy Karol XII burmistrzował w Polsce i zamyślał o osadzeniu na tronie królewicza Jakóba Sobieskiego, a rzeczywiście osadził Stanisława Leszczyńskiego, którego może Stanisław Łukasz był gorliwym stronnikiem. Prawda, Otwinowski powiada: Szwedzi ogromne skarby zrabowali Opalińskiemu w Rytwianach, jednak nieco niżej stoi: ogromne skarby w srebrach, złocie, klejnotach odziedziczył po nim Adam Sieniawski. Albo więc rabunku nie było, albo król szwedzki na instancye Stanisława Leszczyńskiego zabrane kosztowności zwrócić rozkazał. W imieniu żony zajął tedy hetman dobra Rytwiańskie.

Marszałkowa Lubomirska, siostra starosty, już nie żyła, mąż jej umarł także w r. 1702, pochowany w Czerniakowie pod Warszawą, w klasztorze OO. Bernardynów, z tym napisem: *Hic jacet peccator, hujus loci fundator.* Spadkobierczynią marszałkowej była jej córka hetmanowa Sieniawska.

Przewidywał starosta, jaki los czeka po jego śmierci dzieci z pierwszego małżeństwa. Chcąc im los jaki-taki zapewnić, aktem z roku 1699 cały swój majątek zapisał bratu swemu stryjecznemu, a rodzonemu drugiej swej żony Janowi Opalińskiemu, teściowi króla Stanisława, z wykluczeniem spadkobierców rodzonej siostry, co najlepiej objaśnia o stosunku między nim a małżonkami Sieniawskiemi. O dobra Rytwiańskie rozpoczął się proces, który trwał lat 50.

Kto zna duchą i organizacyę naszych trybunałów, nie może się dziwić, że sprawę wygrali sukcesorowie marszałkowéj. Możniejszy wygrywał zwykle.

Hetmanowa „wielka rzędziocha,“ jak ją nazywa Otwinowski, była złym duchem ostatniego z Sieniawskich. Ona to podsuwała mu plany, których urzeczywistnienie wymagało rozumu i woli, a których hetmanowi zupełnie brakowało. Dla dogodzenia fantazyi żony rwał się biedaczysko naprzód, a zastraszony własną energią, przerażał się tem co zrobił, i za każdym krokiem naprzód, cofał się potem dwa kroki wtył.

Skończyło się na tem, że mu nikt nie ufał, nikt nie dowierzał, a bali się go wszyscy, bo był gwałtowny i mściwy, dobra szlacheckie najeżdżał, kwaterunkami przeciwników nękał. August II darować mu nie mógł, że po jego abdykacyi sam o koronie zamyślał, z Piotrem wielkim się wiązał, z marszałkiem konfederacyi sandomierskiej Denhofem się znosił, córkę mu nawet w małżeństwo oddać obiecywał, byle tylko konfederacyę nakłonił do wybrania go królem. Pułtawska bitwa zniweczyła te wszystkie zachcianki, zostało tylko zobowiązanie oddania córki w małżeństwo Denhofowi, które istotnie nastąpiło, mimo wybiegów ojca i niechęci córki. Targi o nią musiały być długie, bo panna tymczasem dobiegła 26 lat. Ślub odbył się we Lwowie z wielką okazałością; Denhof był już wtenczas wojewodą połockim i hetmanem polnym litewskim.

Szlachta nienawidziła Sieniawskiego, mniej jej może jeszcze chodziło o zdzierstwa, jak o to ustawiczne wahanie się i niepewność w sprawach politycznych. Raz obiecywał królowi wspierać go w jego reformatorskich zamysłach, to znowu narzekał przed szlachtą, że August depce wolność narodu. Z własnej woli oddał Flemingowi komendę nad polskiem wojskiem cudzoziemskiego autoramentu, a na sejmikach podburzał szlachtę, aby się upominała o przywrócenie hetmanowi władzy nad całą siłą zbrojną Rzeczypospolitej. Nigdzie nie widać taktu i konsekwencyi. Konfederaci tarnogrodzcy nieraz grozili mu rozsiekaniem, kazali go nawet uwięzić, wspaniałomyślnemu tylko pośrednictwu ks. Janusza Wiśniowieckiego kasztelana krakowskiego zawdzięcza, że mu pozwolono na

wolnej stopie pozostać w majątku pośrednika aż do zakończenia domowej wojny.

Hetmanowa bardziej jeszcze znienawidzona była niż mąż, jej przypisywano powszechnie doradzanie hetmanowi wszystkich gwałtów; Otwinowski powiada o niej, że raz zgniewana na jednego z sędziów trybunału za niedosyć gorliwe popieranie jej interesów, rzekła mu: „Proszę nie zapominać, że w fortecy kamienieckiej są lochy podziemne.“

Umarł hetman we Lwowie r. 1726, we dwa lata później wstąpił zięć jego do grobu, wdowa po nim wyszła powtórnie za mąż za ks. Augusta Czartoryskiego, przyniosłszy mu w posagu królewski prawie majątek. Od tego czasu dopiero datuje się wielkość domu Czartoryskich i polityczne ich znaczenie w Polsce.

Sieniawscy nie mieszkali w Rytwianach, mieli innych rezydencyj podostatkiem, jak: Brzeżany, Sieniawa, Puławy, Międzybóż na Podolu.

Raz tylko hetmanowa zjechała do Rytwian, dla wyprawienia solennego pogrzebu wujowi. Było to r. 1712. Wspomniany już kilka razy ksiądz Tortowski powiada: „Nie brak afektu, ale przeróżne trudności, które pierwej pokonać trzeba było, stały się przyczyną, że siostrzenica dopiero po 8 latach mogła ostatnią cześć wyrządzić wujowi.“

Wiemy już jakiego rodzaju były te trudności, ilustracyą afektu wzajemnego jest zapis majątku szwagrowi, zapewnie z warunkiem, aby los dzieci pozostałych zabezpieczył.

Druga żona starosty nowomiejskiego była, jak już wspominałem, stryjeczna jego siostra Zofia. Z tą nie pozostawił dzieci, nie musiała być zresztą młodą, kiedy się z nią żenił. Był on już trzecim jej mężem. Pierwszy Konarzewski, starosta kolski, temu powiła dwoje dzieci: syna i córkę, drugi Wacław Leszczyński, wojewoda podlaski, z którym żyła bezpotomnie. Umarła r. 1700; jej to ciało zapewnie wywieziono do grobów familijnych w Wielkopolsce, za wolą i staraniem dzieci z pierwszego małżeństwa.

Stanisław Łukasz Opaliński zaczął dźwigać z gruzów stary zameczek Jastrzębców w Łubnicy i tam przemieszkiwał, restauracyi dokończyła z Sieniawskich Denhofowa roku 1727; spalił on się za dni naszych r. 1859.

Hetmanowa Sieniawska pierwsza pozwoliła osiadać żydom w Staszowie, córka jej pozwala im mieć bóżnicę i kierkut. Nowy żywioł zaczął rugować dawne mieszczaństwo, sukiennictwo bardzo kwitnące przedtem zaczęło upadać, dzisiaj jest tylko jeden folusz. Zbudowany przez księcia Augusta Czartoryskiego bazar na rynku staszowskim, dosyć okazały gmach jak na owe czasy, nie przyniósł także korzyści chrześcianom, żydzi jak wszędzie tak i tu ich podbiegli i wszystkie kramy bazaru wyłącznie posiedli.

Klasztor Kamedułów w Rytwianach także uległ zmianom. W r. 1819 został suprymowany, zakonników wywieziono na Bielany pod Warszawą. Supresya nastąpiła wskutek inicyatywy ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego Stanisława hr. Potockiego. Chodziło ministrowi o uzyskanie funduszu dla wyposażenia świeżo powstałych dyecezyj podlaskiej i sandomierskiej; dobra zakonne zdawały mu się jedynem źródłem, z którego potrzebny fundusz otrzymać się dał bez nałożenia na kraj nowych ciężarów. Być może, iż oprócz finansowej strony tego projektu, były w grze jeszcze inne pobudki i namiętności. Pan minister uchodził za wielkiego liberała w kwestyach religijnych. Romans jego: *Podróż do Ciemnogrodu* jest wyrazem tego usposobienia, wszystko jedno, czy był napisany jako środek mający służyć do rozbrojenia przyjaciół zakonów i pozyskania opinii dla operacyi finansowej, czy celem jego głównym było ośmieszenie duchowieństwa. Projekt przeszedł, na autora jednak romansu powstały takie wrzaski, że musiał ustąpić z posady. Co do dóbr zakonników rytwiańskich i w tem celu nie osiągnął, bo aktem erekcyjnym zastrzeżonem było, aby wrazie rozwiązania zakonu całego lub zwinięcia klasztoru, dobra te przeszły napowrót w ręce sukcesorów fundatora. Sukcesorowie istotnie rozpoczęli proces, a sąd w r. 1843 przyznał hr. Adamowi Potockiemu własność ziemi darowanej niegdyś Kamedułom Rytwiańskim przez ostatniego Tenczyńskiego i jego córkę marszałkową Opalińską.

Po Czartoryskich przeszły Rytwiany jako wiano córki powtórnie do Lubomirskich, z córką tych w dom hr. Potockich.

BIBLIOTEKA NARODOWA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
2001881
2001887

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001006334695

OPISY

MIĘJSC

5